

Dziś w numerze: ● Linia Noteci ● Wesółych Świąt ● Ile kosztuje metr py-
tona? ● Narodziny postaci ● Jak zrobić kabaret? ● Polka na piątym
kontynencie ● Filmy w TV ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosy



Nr 12 (426)
26. III. 1967 r.
16 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



Tegoroczne Międzynarodowe Dni Teatru obchodziła Łódź w szczególnym nastroju. Były ku temu istotne przyczyny: wzbogaciliśmy się przecież o wspaniałe gmachy Teatru Wielkiego i to bogactwo — tak zobowiązujące — przed naszym środowiskiem teatralnym, a więc na równi przed łódzkim aktorem, reżyserem i teatrologiem, jak i przed łódzkim widzem — miłośnikiem tej pięknej sztuki, znów postawiło szereg palących pytań, rysując jednak zarazem piękne i warte trudu perspektywy. Może właśnie dlatego w czasie skromnych uroczystości Dni Teatru tyle mówiono o obowiązkach i ambicjach, o potrzebie odwagi i eksperymentu. Takim był w owym dniu ton przemówień oficjalnych, taki i prywatnych rozmów. Wszyscy wyczuwali, że jeszcze jedna nowoczesna scena naszego miasta, której tak nam zażdroszczą, to może i zapowiedź nowych, pięknych kart w bogatej przecież historii łódzkiego teatru, może i zapowiedź sukcesów, które jednak nie przyjdą bez wielkiego i odważnego wysiłku wszystkich ludzi teatru.

W tej atmosferze szczególnych znaczeń nabierały odczytane ze sceny Teatru Nowego słowa listu Heleny Weigel:

„Teatr oraz spokrewnione z nim dziedziny sztuki, muszą sobie postawić jak najbardziej surowe wymagania wobec ludzkiej społeczności i poczuwać się do najwyższej odpowiedzialności. Rezultat naszej pracy jest doniosły i sięga poza granice jednego kraju. Zapraszamy publiczność do teatru, by jej pokazać, w sposób zajmujący, inteligentny i zręczny, wierny obraz rzeczywistości; chodzi nam o to, by mogła ona tę rzeczywistość poznać i zrozumieć. My, ludzie teatru, przyczyniamy się, przy pomocy właściwych nam środków wyciągu do tego, by planetę naszą uczynić wreszcie — miejscem godnym przebywania. Znaczący to jeszcze i to — a zwłaszcza i to — że tworzymy teatr służący dziś pokojowi a jutro przyjaźni, kiedy człowiek stanie się pomocą dla drugiego człowieka.

Taki jest sens życzeń, które na rok 1967 kierujemy do wszystkich teatrów świata. Wzywamy do opowiedzenia się za tą formułą sztuki, którą dał Bertolt Brecht:

„W epoce, w której każdy musi dokonywać wyboru, obowiązuje to również sztuka. Może ona albo stać się narzędziem znękomej mniejszości, która w stosunku do olbrzymiej większości odgrywa rolę Przeznaczenia, domagając się przede wszystkim zaufania ślepego; albo też stanąć po stronie większości i potwierzyć jej swe przeznaczenie. Może doprowadzać ludzi do upajania się iluzją i cudem. Może potęgować ich ignorancję lub powiększać ich wiedzę. Może się odwołać do sił destrukcji; i może wybrać te, które działają konstruktywnie”.

HELENA WEIGEL



Zawarty 15 marca Układ między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Niemiecką Republiką Demokratyczną o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy jest aktem o szczególnym znaczeniu. Owa szczególność polega na tym, że potwierdza on historyczne przemiany, jakie ukazywały się między naszymi krajami. Jest on świadectwem i kontynuacją owocnej współpracy, rozwijającej się od chwili powstania pierwszego w dziejach demokratycznego i pokojowego państwa niemieckiego. Ale jego waga wykracza poza stosunki bilateralne. Mówił o tym na uroczystości podpisania układu Władysław Gomułka:

„Zamykając drogę przed agresją zachodniemieckich militarystów i odwetowców lub jakiegokolwiek innego państwa czy też grupy państw, które by się z nimi sprzymierzyły, układ ten, wraz z układem polsko-radzieckim i polsko-czechosłowackim, wraz z całym Układem Warszawskim, służy bezpieczeństwu nie tylko obu naszych krajów, lecz równocześnie umacnia pokój i bezpieczeństwo w całej Europie”.

W rzędzie sojuszniczych spotkań, tak ożywionych w ostatnim okresie, umiemy także zapowiedzianą na pierwsze dni kwietnia wizytę naszej partyjno-rządowej delegacji w Bułgarii. I tym razem jednym z zasadniczych tematów rozmów będą sprawy europejskiego bezpieczeństwa.

Zainteresowanie spotkaniami przywódców krajów socjalistycznych odsunęło nieco na plan dalszy, choć nie wyparło z tamów prasę, komentując na temat wyników wyborów we Francji. Wielkie zwycięstwo lewicy i poważne zmniejszenie się większości rządowej wywołuje różne domysły co do politycznej przyszłości Francji. Na ogół jednak wszyscy zgadzają się, że rezultaty wyborcze nie wpłyną na zmianę jej polityki zagranicznej, natomiast z całą pewnością zmuszą de Gaulle'a do zmodyfikowania polityki wewnętrznej w kierunku wzmoczonego zainteresowania zagadnieniami socjalnymi.

Mnożą się też spekulacje na temat składu nowego gabinetu. Nie przypuszcza się, aby nastąpiły w nim poważniejsze zmiany. Najczęściej rozważa się osobę Couve de Murville'a, który nie został wybrany w skład parlamentu. Jednak i w tym wypadku nie wydaje się prawdopodobne, aby dokonano zmiany. Jego pozostanie na dotychczasowym stanowisku podkreślałoby ciągłość polityki zagranicznej de Gaulle'a.

Miarą trudności, jakie przynosi skurczenie się większości rządowej w parlamencie, jest potrzeba zdymisjonowania — jeszcze przed inauguracyjnym posiedzeniem Zgromadzenia — 21 ministrów, którzy wybrani zostali w II turze. Procedura V Republiki uniemożliwia bowiem głosowanie urzędującym ministrom. Aby więc nie utracić 21 głosów, bez których gaullisci mogliby znaleźć się w mniejszości, zamierza się ich wcześniej pozbawić tek ministerialnych.

W nieco późniejszym czasie większość rządowa ustala się z pewnością na zasadzie poparcia przez część deputowanych z ramienia tzw. Centrum Demokratycznego. Do takiego wniosku upoważnia fakt, że w niektórych okręgach wycofano kandydatów V Republiki na rzecz tego ugrupowania.

Na wyniki wyborów francuskich trzeba patrzeć nie tylko pod kątem porażki gaullistów, ale — i to przede wszystkim — pod kątem zwycięstwa lewicy. Połączenie jej sił przyniosło sukces, który stał się poglądom lekcją jedności i dla lewicy w innych krajach.

Warto podkreślić, że zapowiedziano stałe koordynowanie akcji lewicy w Zgromadzeniu Narodowym.

I jeszcze kilka uwag o konflikcie wietnamskim.

W chwili, gdy przygotowuje komentarz do druku, na jednej z wysp Oceanu Spokojnego — Guam odbywa się szeregowa narada. Początkowo mieli w niej wziąć udział tylko Amerykanie, a przede wszystkim: dowódcy sił amerykańskich w Wietnamie pld. — Westmoreland i ambasador USA w Sajgonie — Lodge'a, potem listę jej uczestników rozszerzono także o reżimowego premiera — Cao Ky. Tak więc po raz trzeci w ciągu roku Johnson spotkał się z Ky.

Po co zwołano tę naradę? Oficjalnie, aby rozpatrzyć sytuację polityczną, militarną i gospodarczą w tym zakresie z sojusznikami, praktycznie — aby wzmocnić działania w Wietnamie. W każdym razie z opublikowanego oficjalnie porządku obrad nie wynika absolutnie, aby miało dyskusować o przywróceniu pokoju.

Decyzja o spotkaniu na Guam niemal zbiegła się z decyzją, że Lodge'a w najbliższym czasie zastąpi w Sajgonie Ellsworth Bunker — 73-letni polityk, mający w Stanach Zjednoczonych opinię zręcznego dyplomaty i negocjatora.

Czym wytłumaczyć tę nominację? Dlaczego właśnie „negocjator” przejął ma kierownictwo amerykańskim przedstawicielstwem w Wietnamie?

Sprawa jest prostsza niż mogłoby się wydawać. Decyzja o mianowaniu Bunkera ma po prostu rozbroić krytyków polityki Waszyngtonu, oczywiście, po to, aby nadal nasilać agresję. Guam, a nie Bunker jest przecież symbolem wietnamskiej polityki Stanów Zjednoczonych.

W. SŁAWSKI

TKRONIKA TYGODNIA

■ Ambasador amerykański w Sajgonie Cabot Lodge przyznał, że Stany Zjednoczone nie osiągnęły w Wietnamie „zadowalających rezultatów”.

■ Premier ChRL Czu En-laj miał zażądać od dyplomatów chińskich, którzy ostatnio powrócili z różnych placówek dyplomatycznych do Pekinu jak i tych, którzy mają być mianowani w krajach afrykańskich, aby udzielili pomocy w formowaniu jednostek czerwonogwardyjskich w Afryce na wzór oddziałów czerwonogwardyjskich w Chinach.

■ Amerykańscy ekonomiści stwierdzają, że przez drugi z kolei miesiąc postępuje spadek produkcji przemysłowej w Chinach może trwać dziesiątki lat, a nawet wiek.

„Chodzi bowiem o stworzenie nowego świata, w którym zlikwidowana zostanie ideologia burżuazyjna zakorzeniona głęboko w umysłach ludzi”.

■ General Suharto oświadczył w przemówieniu radiowym, że „na razie dr Sukarno będzie korzystał z honorów przysługujących prezydentowi, ale nie będzie miał żadnej władzy ani kompetencji wykonawczych”.

■ Dziennik „Borba” pisze, iż Jugosławia osiągnęła taką fazę rozwoju społeczno-ekonomicznego, w której trzeba skończyć z autarkią i stosować takie środki, które umożliwią

ta powinna opierać się na dwóch podstawowych założeniach: 1) czynnikiem, który decyduje o wyniku wojny jest naród, a nie broń; 2) w jednostkach wojskowych wychowanie ideologiczne musi stać ponad wyszkoleniem technicznym.

■ Jedną z najpoważniejszych organizacji biznesu w Stanach Zjednoczonych — Amerykańska Rada Międzynarodowych Izb Handlowych ogłosiła oświadczenie, w którym domaga się szybkiego i radykalnego rozszerzenia stosunków gospodarczych z krajami Europy Wschodniej. Rada wysunęła postulat zezwolenia firmom amerykańskim na udzielanie krajom Europy Wschodniej kredytu na okres dłuższy niż 5 lat.

■ Agencja UPI donosi, że uczeni szwedzcy zaprojektowali i skonstruowali model „czystej” broni jądrowej, która ewentualnie użycie spowodowałoby względnie nieznaczny tylko opad radioaktywny.

■ Czechosłowacja z każdym rokiem zakupuje więcej licencji na Zachodzie. O ile w latach powojennych — do 1960 roku Czechosłowacja zawarła z kapitalistycznymi przedsiębiorcami na Zachodzie 12 umów na zakup licencji, od 1960—1965 już 56 umów, zaś w minionym 1966 roku aż 63 umowy.

■ Według dziennika „Zem-zinzipao” jednym z głównych osiągnięć rewolucji kulturalnej w Chinach było „zniesienie tradycyjnej kultury chińskiej i cywilizacji za chodniej”.

■ Rzecznik japońskiego MSZ poinformował o „mobilizacji” japońskiego korpusu dyplomatycznego dla „zbadaania wszystkich możliwości pokojowych”, by położyć kres wojnie wietnamskiej.

■ Z dniem 1 kwietnia br. wchodzi w życie w Koreańskiej Republice Demokratycznej uchwała o dziewięcioletnim powszechnym obowiązkowym nauczaniu technicznym.

■ Senacka komisja sił zbrojnych wypowiedziała się za budową systemu obrony przeciwrakietowej w USA kosztem 20 miliardów dolarów, o ile rząd amerykański nie zdoła porozumieć się ze Związkiem Radzieckim w sprawie uniki tego etapu wyścigu zbrojeń.

■ W wywiadzie udzielonym pismu „Zivot Strany”, członek Prezydium i sekretarz KC KPCz J. Hendrych, odpowiadając na pytanie, gdzie przebiega główny front walki między ideologią socjalistyczną i burżuazyjną, oświadczył m. in., iż obecnie przedmiotem szczególnego oddziaływania ideologii burżuazyjnej są przede wszystkim pewne grupy ludzi, w pierwszym rzędzie Intelektualiści, a zwłaszcza przedstawiciele kierunków humanistycznych. Ideologia burżuazyjna wiąże wielkie nadzieje z właściwym tej inteligencji ostrym krytycyzmem, z jej dążeniem do kształtowania społeczeństwa według idealnego modelu bez uwzględniania realiów, z jej oderwaniem od praktyki. Wieć nadzieje wiążą nas przeciw niemu ideowi z młodym pokoleniem. Starają się oni wzbuścić wśród młodzieży zachwyt wobec Zachodu, dążą do tego, aby utożsamiała ona w pierwszej fazie 3 miliony ton w skali rocznej później zaś 6 milionów. Wartość inwestycji określa się na 750 milionów marek.

■ Wyniki ostatniej ankiety Gallupa wykazują, że wojna wietnamska wyraźnie wpływa na zmniejszenie popularności Johnsona wśród wyborców amerykańskich i podrywa autorytet partii demokratycznej. Polityce prezydenta udzieliło poparcia zaledwie 45 proc. zapytywanych.

■ Zachodniemiecki koncern Demag rozważa możliwość budowy w Chinach walcowni, której zdolność produkcyjna ma wynieść w pierwszej fazie 3 miliony ton w skali rocznej później zaś 6 milionów. Wartość inwestycji określa się na 750 milionów marek.

■ Premier rządu albańskiego Mehmet Shehu zatecił ideologiczną rewolucjonizację albańskich sił zbrojnych. Zdaniem Shehu rewolucjonizacja



wej w Stanach Zjednoczonych. Podobne opinie wyraża prasa amerykańska twierdząc, że „wielki boom” lat 1962—1966 zakończył się.

■ Minister spraw zagranicznych NRF Willy Brandt przyjął w Bonn grupę dziennikarzy radzieckich. Przedmiotem rozmowy, która trwała około godziny, było stanowisko NRF w sprawie stosunków niemiecko-radzieckich oraz problem niemiecki. Gości wręczyli Brandtowi samo war.

■ Praski dziennik „Rude Pravo” pisze, iż w latach 1955—1965 „urawniłowka” w dziedzinie plac w Czechosłowacji pogłębiała się i obecnie znaczna większość pracujących otrzymuje wynagrodzenie równe przeciętnej.

■ Pracownik ambasady chińskiej w Paryżu powiedział, że rewolucja kultural-

zliwia rzeczywistość współzawodnictwa z zagranicą. Sytuacja wymaga stworzenia możliwości korzystania z kapitałów zagranicznych dla szybszego włączenia ekonomicznej jugosłowiańskiej do rynku światowego i światowego postępu technicznego.

■ Miesięcznik „Esquire” utrzymuje, że rodzina Kennedych wydaje około miliona dolarów rocznie na przygotowanie wyborów senatora Roberta Kennedy'ego prezydentem Stanów Zjednoczonych. Według opinii miesięcznika nie należy wykluczać, że Kennedycy będą chcieli umieścić w Białym Domu Edwarda Kennedy'ego a potem syna zmarłego prezydenta Johna.

■ „New York Herald Tribune”, donosi z Monachium, że ZSRR prowadzi rokowania w sprawie nabycia na terenie NRF placu, gdzie powstałaby fabryka, w której produkowana by na sprzedaż wyroby mechaniczne przeznaczone dla Zachodu. Mówi się o uruchomieniu zakładu montażowego samochodów Moskiewicz.

■ Wyniki ostatniej ankiety Gallupa wykazują, że wojna wietnamska wyraźnie wpływa na zmniejszenie popularności Johnsona wśród wyborców amerykańskich i podrywa autorytet partii demokratycznej. Polityce prezydenta udzieliło poparcia zaledwie 45 proc. zapytywanych.

■ Zachodniemiecki koncern Demag rozważa możliwość budowy w Chinach walcowni, której zdolność produkcyjna ma wynieść w pierwszej fazie 3 miliony ton w skali rocznej później zaś 6 milionów. Wartość inwestycji określa się na 750 milionów marek.

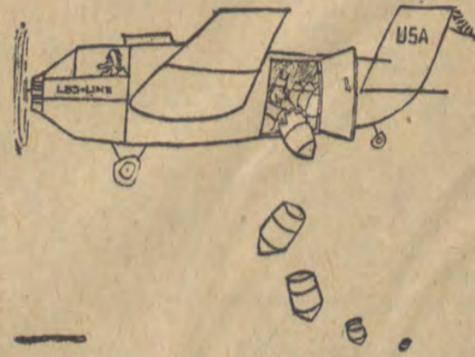
■ Premier rządu albańskiego Mehmet Shehu zatecił ideologiczną rewolucjonizację albańskich sił zbrojnych. Zdaniem Shehu rewolucjonizacja

gazet, że nasi powojenni spryciarze lepsi są już od przedwojennych. Aż serce rośnie. Już mi dzisiaj nikt ze starszych nie powie: panie, przed wojną byli ewanicy! Nie to co dziś! Był manko w sklepie to każdy pętał zrobić potrafi, a przed wojną Kolumne Zygmunta potrafił sprzedać, nie mówiąc już o remizie tramwajowej. Tymczasem czytam ja w gazecie i oczom nie wierzę. W Warszawie sprzedano cztery państwowe kolumny z granitu. Tego przed wojną nie potrafili. Były odpowiednie paragony, magazyn wyda i kasa przyjęła, zjechał nawet odpowiedni dźwig do tych kolumn i wielka ciężarówka, organizacja pracy na medal! Tu się pracuje, co?

Ale nie wszędzie praca takim celem służy. Służy czasem celom lepszym. Wróciłem przed kilku dniami z Raciborowic, które leżą w piotrzkowskim powiecie. Wiele odrobnie jeszcze zabita deska od świata, a w każdym razie dostać się tam w okresie wiosennych roztopów nie jest tak znowu łatwo. Zajrzałem na kilka godzin do Klubu Młodego Rolnika, którym opiekuje się także i ZMW. Lichy ten klub, wąski pokój zastawiony stółkami, w rogu sklepik z typowym asortymentem naszego „Ruchu” i jeszcze telewizor do tego. A jednak, jak się okazuje, jest to jeden z najlepszych klubów w powiecie i województwie. Trzeba wykaazać dużo pomysłowości, żeby w tych warunkach osiągnąć znakomite wyniki w szerzeniu oświaty rolniczej, czytelnictwa literatury pięknej i wielu innych akcjach. Jak oni tam potrafili zorganizować interesującą sekcję dramatyczną, żywego, poetyckiego słowa — tego doprawdy nie wiem. A przecież zbierają zewsząd pochwały. Gdybyście zobaczyli tych chłopaków, ubranych z miejska, owanych na oko, jakby troszkę przyuczonych, to byście z miejsca zapytali, a gdzie tu jest budka z portierem? Budki, oczywiście, w Raciborowicach nie ma, młodzi gospodarze myślą o maleńkim cudzie gospodarczym. Chcą go dokonać na ojcowych polach, to jest ta ich serdeczna pasja, ich głos w dyskusji o współczesnej młodzieży.

Tu się pracuje i tam się pracuje, na Dąbrowie i w Tomaszowie, na placach stolicy, gdzie porzucono cenne kolumny z granitu i w małej wsi za Piotrkowem. Porównujemy, to jest nawet konieczne chociażby dla samej równowagi, dla ustrzeżenia się od błędu, jaki popełniają najeźdźcy ci, którzy lubią przesadzać w jedną lub drugą stronę.

niebezpieczny



Johnsonowskie otwarte drzwi do rozmów z Hanoi... (Sonntag)

TU SIĘ PRACUJE

Usłyszałem ostatnio taką anegdotę: przed budką z piwem kołysz się gromadka mężczyzn niezłe „zapranych” portierem. W pewnym momencie jeden z nich powiedział do drugiego: Karol, jakby tu przyszedł Michał to mu powiedz, że skończyłem na kwadrans do pracy i zaraz wracam.

Tu się pracuje, co? Niestety, tak bywa. Piszę o tego rodzaju pracuśiach z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że moi przyjaciele wolał jeszcze nie mogą mnie zaprosić do siebie, a są to ludzie gościnni, ja zaś, coż dużo mówić, biesiadny jestem człowiek. Ale oni nie mogą mnie zaprosić, ponieważ dostali nowe mieszkanie w Łodzi, na Dąbrowie, no i już drugi miesiąc zajęci są usuwaniem usterek. Nie mieli nawet czasu na obejrzenie filmu angielskiego — „Nasz dom”, który szedł w naszej telewizji przed niedawnym czasem. Podczas projekcji tegoż filmu wszyscy chyba czuli się przedziwnie swojsko, zupełnie jak u siebie w domu. Pewne angielskie małżeństwo raskładało sobie pieniądze na mieszkanie, całym jak u nas i wpłaciło te pieniądze gdzie trzeba, jak u nas, i zabrało się do czekania na mieszkanie, jak u nas. Nim mieszkanie ukończono — zdążyło przyjść na świat trochę dzieci, harmonogram prac budowlanych nie uwzględnia koniecznych przecież rezultatów miłoś. Czuliśmy się, jak u siebie w domu, kiedy młody Anglik odkrył kran, bo mu woda leciała z żyrandola, telefon nie działał, drzwi się nie zamykały. I jakos tak mimo woli przychodziło na myśl, że to weale nie jest angielski film, tylko nasz. specjalnie po cichu wyprodukowany, w angielskie napisy zaopatrzone dla niepoznaki. Film czyste propagandy, który miał nas przekonać, że to nie tylko my, ale cały świat tak pracuje.

Nie cały świat, a i u nas nie wszyscy. Przed kilku dniami zakończył się w Tomaszowie Maz. kolejny Złot Przedowników Pracy i Nauki, organizowany przez ZMS z okazji 10-lecia istnienia tej organizacji młodzieżowej. I to jest drugi powód, dla którego zabieram głos. Widziałem na własne oczy młodych robotników, słowo daję, że widziałem. Weale nie skaeza na piętnaście minut do pracy. W Tomaszowie, mieście — jak wiadomo — ambitnym, pracuje w tej chwili 129 młodzieżowych Brygad Pracy Socjalistycznej, a 71 stara się o taki właśnie tytuł. I to nie jest ta dawna szturmowszczyzna, czy też bogoojczyzniana tromtradycja pomalowana na czerwoną. Trudno byłoby mi sergółowo powiedzieć, nie umiem wymierzyć efektów akcji pod nazwą „Młodzież 5-latec”, ale wiem, że to właśnie hasło poszło w kraj z naszego województwa, właśnie z Tomaszowa Maz. Tu się pracuje naprawdę.

Przeczytałem ostatnio, w którejś z naszych



Na mapie Księstwa Warszawskiego odnajdujemy Międzyrzecz nad Obrą jako miasteczko powiatowe, siedzibę jednego z podprefektów podporządkowanych prefektowi departamentu poznańskiego. Dopiero czwarty rozbiór Polski, usankcjonowany przez kongresującą w Wiedniu europejską reakcję przysądził Międzyrzecz Prusom. Decyzji Wiednia nie zmienił Wersal. Po roku 1918 Ziemię Międzyrzeczną znowu oddano Niemcom.

Mieszkańcy Międzyrzecza nie ugięli się przed szachrajstwami dyplomatów, ani przed teutońską furią Bismarcka, Wilhelma i Hitlera. Skrzętnie gromadzili i czujnie chronili przed okiem zaborcy świadectwa i pamiątki lepszych dni. Te dawniejsze, z epoki przedrozbiorowej i te nowsze z lat 1807—1813, ostatnich lat wolnych od pruskiego ucisku. Chronili i uchronili. W pierwszych miesiącach roku czterdziestego piątego po wyzwoleniu Międzyrzecza, świeżo utworzone tu polskie władze terenowe nie potrzebowały sprawić sobie urzędowej pieczęci. Posłużyły się po prostu przechowanym na miejscu starym tłokiem pieczętnym podprefektury Międzyrzeczkiej z czasów Księstwa Warszawskiego. Dziś zaświadczenia i pokwitowania opatrzone tym podwójnie historycznym stemplem leżą sobie skromnie za szkłem gablotki w regionalnym muzeum. Urzekająco wymowne świadectwo upartej polskości tych stron.

Tym bardziej zaskakuje niespodzianka jaką szykuje nam kronika Galla. Czytamy w niej bowiem jak to Bolesław Krzywousty już jako młody chłopiec, „...wyraźnie objawił sławę swego imienia. Albowiem takimi siłami obległ gród Międzyrzecz i z taką gwałtownością doń szturmował, że w kilku dniach zmusił jego załogę do poddania się”. Jakże to więc? Polski książę zdobywa polski gród? Czym wytłumaczyć ten dziwny zbieg okoliczności? Istnieją poważne podstawy, aby sądzić, że w czasie, do którego odnosi się Gallowa wzmianka (a chodzi o ostatnie lata XI wieku) za wałami Międzyrzecza zagospodarowali się bliźcy, a zarazem wrodzy sąsiedzi z północy, Pomorzanie.

Ilekróż słyszę lub czytam o Pomorzu i Pomorzaniach, tyle razy mimo woli wracam myślą do sierpniowego dnia sprzed wielu, wielu lat, kiedy jako może dziesięcioletni smarkacz po raz pierwszy w życiu stanąłem na GRANICY PAŃSTWA. Przydarzyło się to nad Jeziorem Zarnowieckim, tam, gdzie wypływa z niego rzeczka Piasnica, zmierzająca ku niedalekiemu morzu. Niejedno się od tego czasu zmieniło. Piasnica przestała być rzeką graniczną, a z małej gromadki turystów, która stała wówczas nad jej brzegiem, bodaj ja tylko jeden żyję jeszcze i nie ma nikogo, komu mógłbym powiedzieć: pamiętasz? A ja pamiętam. Mam przed oczami biało-czerwone pasy granicznego szlabanu (taki sam lamia Niemiec i żołnierze na znanym zdjęciu zdobywającym wiele książek o Wrześniu). I słyszę głos ojca, opowiadającego mi dziwna historię wsi, której domy widnieją przed nami jak na dłoni, bliskie, a jednocześnie niedostępne, bo już „po tamtej stronie”. To Wierzbucino. Jego kaszubscy mieszkańcy zbierali podobno składki na łapówkę dla Kongresu Wersalskiego, chcąc w ten sposób zapewnić sobie połączenie z Polską. Nie pomogło! Pruscy junkrzy z okolic Międzyrzecza mieli więcej szczęścia i na pewno znacznie więcej pieniędzy.

Pomorscy przodkowie dzisiejszych Kaszubów nie zawsze garnęli się w granice państwa polskiego. Silna władza piastowskich monarchów zapewne nie w smak była drobnym, lokalnym książątkom i potężnym kupcom z miast nadmorskich. Przymusowa chrystianizacja nie uśmiechała się wpływowym kapłanom z pogańskich świątyni Wolina i Szczecina. Gdy zatem Krzywousty przy stał do ostatecznego narzucenia Pomorzu swego zwierzchnictwa, napotkał na gorący opór. Granica polsko-pomorska zastąpiła wówczas rzetelnie na nazwę granicy płańcej.

Była to granica mocno zakreślona w terenie. Stanowiła ją dolina Noteci i dolnej Warty, rozległa, bagnista, trudna do przebycia. Za Notecią, po stronie pomorskiej szeroko rozciągało się wyżynne Pojezierze, pokryte puszcza, niemal niezamieszkałe. Dalej dopiero leżała nadmorska nizina, ludna i bogata. Aby się do niej dostać, trzeba było przebyć wszystkie wodne i lądne przeszkody. Trzeba było przede wszystkim zdobyć i utrzymać przeprawy notecię.

Nie dziwnego, że grody strzegące owych przepraw przechodziły z rąk do rąk, że ich nazwy często odnajdujemy na kartach historii wojskowej polskiego średniowiecza: Santok, Wielka, Ujście, Nakło... Pod ich wałami, przez strażnice czujnie groble i brody ciągnęły wojska polskie pod Białogard, Kolobrzeg i Szczecin. Tędy, też, tylko w odwrotnym kierunku wiodli pomorscy dowódcy odwetowe, łupieskie wyprawy, sięgające Płocka i Spicimierza.

ANDRZEJ NADOLSKI

Linia Noteci

Sytuacja na północy jaką zastał Krzywousty u progu swych rządów, nie była łatwa. Wcześniej jeszcze Hermanowe próby przywrócenia Polsce władzy nad Pomorzem zakończyły się zupełnym fiaskiem. Pomorzanie wyparli z własnego terenu polskie garnizony, opanowali większość nadnoteckich grodów i trapiili rdzennie ziemie polskie nieustannymi najazdami w poszukiwaniu jenców i łupów. Chyba właśnie wtedy pomorska załoga osadziła się w Międzyrzeczu, skąd usunął ją Bolesław, wówczas jeszcze na równi z bratem Zbigniewem prezydent do ojcowego tronu^{*)}. Szybkie, głębokie rajdy, jakie Krzywousty w początkach swego panowania skierował na Białogard i Kolobrzeg, przyczyniły młodemu księciu sławy, a polskiemu rycerstwu zdobywcy, ale trwałego rezultatu nie dały. Trzeba było przystąpić do ciężkich i żmudnych walk o notecię — przeprawy. Tylko dwie z nich znajdowały się w polskich rękach. Jedną strzegło Ujście, drugą — Santok.

Santok! „Strażnica i klucz Królestwa” według słów Gallowych tylekroć powtarzanych przez historyków, publicystów i powieściopisarzy. Sławny gród u splotu Noteci i Warty, strzegący obu tych ważnych dróg wodnych, a także starego lądowego szlaku łączącego Poznań z ujściem Odry. Spod santockich wałów ruszały zapewne pierwsze polskie (a może jeszcze polańskie?) wyprawy na nadmorski Wolin, te wyprawy, które miały wprowadzić państwo Mieszka na karty kronikarskich ksiąg.

Pozostawiamy samochód tuż za mostem, po prawej (a więc pomorskiej) stronie i ruszamy ku wysokiej krawędzi północnego brzegu noteckiej pradoliny. Wprost przed nami, na niskim, przeciwnym brzegu wyraźny krąg grodziska. To, co zostało z santockiej strażnicy.

Idziemy wolno skrajem urwiska. I oto niebawem wyrasta przed nami dziwna budowla. Pękata, przysadzista, zmurowana z polnego kamienia, przypomina coś pośredniego między latarnią morską, basztą średniowiecznego zamku i wieżą cieżnią z kolejowej stacji. To „Ansichtsturm” (wieża widokowa), którą z właściwym sobie smakiem wnieśli zaborcy tej ziemi, przybywszy znad Łaby, Wezery, Renu. Prowadzili w Santoku wykopaliska i opublikowali je pod wymownym tytułem „Zantoch, eine Burg im deutschen Osten” (Santok, gród na niemieckim Wschodzie). Mniejsza z nimi. Byli, minęli. Widać wyraźnie, że wstępnym urwiska oszpecony przez architektoniczne ambicje

przedstawicieli Herrenvolku, nosi ślady dawniejszej ludzkiej działalności, że wznośli się tu kiedyś gród, mniejszy znacznie od tamtego, widocznego w dole, po przeciwnej stronie rzeki.

Sięgnijmy do niezastąpionego Galla: na dwór Władysława Hermana doniesiono nagle, „że Pomorzanie wyruszyli i na wprost Santoku... wystawili gród przeciwny. Był zaś ten nowy gród tak wysoki i tak blisko położony chrześcijanom, że to co mówiono lub co się działo w Santoku, mogło być dobrze słyszane i widziane przez pogan”. Istotnie, głos po wodzie niesie daleko, a z miejsca, na którym stoimy, policzyć można każdą kurę grzebiącą dziś na majdanie santockiego grodziska. Pomorska strażnica była na pewno groźnym sąsiedztwem dla polskiego garnizonu, czuwającego u splotu Warty i Noteci. Nie więc dziwnego, że Pomorzanie nie pozostawiono w spokoju. Wprawdzie starszy z Władysławowiców, Zbigniew, „pośpieszyłszy tam, ani owego nowego grodu dzielnie nie zaatakował, ani wrogów nie wciągnął do walki, mając tak znaczne siły” — Skoro jednak „za odejściem starszego brata pojawił się młody Bolesław... to choć jeszcze nie pasowany na rycerza, „więcej wskórał niż brat opasany już mieczem. Bo i most w natarciu odebrał grodzianom i w pośpiechu miecz swój zaniósł aż do bramy... Poganie zatem, widząc iż chłopiec nie odstępował dlatego, że mało miał siły, a obawiając się groźnej im zguby, gdyby powrócił z dużymi, sami zburzyli swój gród, który przedtem zbudowali i zmarnowali trud na darmo, schronili się w bezpiecznych kryjówek”. Santok ocalał i miał oddać Bolesławowi niemale usługi w czasie dalszych zmagania polsko-pomorskich.

Ruszamy dalej szlakiem tych zmagania. Wiedzie on nas na wschód, w górę Noteci, wzdłuż wysokiej krawędzi pradoliny, skrajem nadnoteckiej puszczy. Dziś jeszcze kraj jest lesisty, jak był przed osiemset laty? Rozległy, moczarowaty pas nadnotecznej niziny przecina czasem w poprzek droga zdążająca do przeprawy. Mało tych przepraw! Nie trzeba być ani strategiem, ani historykiem wojskowości, aby zrozumieć jakie znaczenie miała każda z nich dla obu walczących stron, zrozumieć dlaczego tyle polskiej i pomorskiej krwi przelano przy każdym brodzie, przy każdym moście łączącym oba

wojowniczy książę (Krzywousty) rozłożył się wokół ze swymi wojskami nacierając nań orężem i machinami. Załoga widząc, że nie zdoła się oprzeć, zażądała zawieszenia broni i naznaczyła termin po upływie którego, jeśli od swoich nie doczeka się pomocy, miała oddać siebie i miasto w moc wrogów. Zgodzono się na zawieszenie działań wojennych, lecz bynajmniej nie odłożono przygotowań oblężniczych. Tymczasem wysłałszy załogę dotarli do wojska Pomorzani i zawładnęli ich o umowie. Wtedy Pomorzanie wzburzeni zaprzysięgli sobie poleć za ojczyznę, albo zwycięży Polaków. Odprawili więc konie, aby przez zrównanie niebezpieczeństwa dodać wszystkim pewności siebie i odwagi, nie trzymając się żadnych dróg ani ścieżek, przebijali się przez gąszcze lesne, aż wynurzyli się z lasów jak myszy polne z nor. Własnie był to czcigony dzień św. Wawrzyńca męczennika (10. 08.) i tejże godzinie rzesza wiernych wynożyła z uroczyściami mszalnicy, gdy oto nagie wojsko barbarzyńców nastąpiło na nich z bliska. Coż teraz począć chrześcijanie, gdzie się zwrócą? Nieprzyjacieł następuje znenacką, brak czasu na sprawienie szyków, naszych mało, wroga dużo, ucieczka niesposobna, zawsze zresztą niemilla Bolesławowi. Uszykowawszy wtedy rycerstwo nie go tam ożyło (na innym miejscu podaje kronikarz, że go było 700) we dwa zaledwie oddziały, jeden z nich poprowadził sam wojowniczy Bolesław, drugi zaś jego wojewoda, Skarbimir. Co do znacznej reszty wojska bowiem, to jedni szukali paszy dla koni, drudzy żywności, inni strzegli dróg i ścieżek, wypatrując nadejścia wrogów. Bolesław bez zwłoki wyprowadza swe oddziały, i zaczął wrogów wokół okrążyć, ponieważ oni tak powbijali włócznie swe w ziemię, zwróciwszy ostrza na wrogów i tak się zbilł w gromadę, że nikt nie był w stanie przedrzeć się w ich środek samym męstwem, bez użycia podstępów. Gdy więc na Bolesława wrogów zwrócił całą czujność — Skarbimir z przeciwnej strony upatrzywszy miejsce umożliwiającej dostęp, bez zwłoki wdął się w największą gęstwę wrogów. Rozbici w ten sposób i otoczeni barbarzyńcy zrazu stawiali zacięty opór, lecz wreszcie zmuszeni zostali do ucieczki. Z trzydziestu tysięcy pogan uszło zaledwie dziesięć tysięcy. Załoga Nakła poddała miasto za cenę życia. Posyłałszy o tym załogi szesściu innych grodów poddały się wraz z warowniami^{*)}.

Analiza topograficzna i badania wykopaliskowe pozwoliły dokładnie ustalić lokalizację nakleńskiego grodu. Leżał w widłach Noteci i jej małego dopływu — Sieklicy, po północnej, pomorskiej stronie. Zbudowano go na ostatnim występie wysokiego brzegu, wcinającym się głęboko w bagniste łąki. Dziś teren ten pokrywa zabudowa miejska, raczej nawet przedmiejska, bynajmniej nie imponująca. Od zachodu, ponad Notecią rozciąga się spory szmat łąk wciśnięty między wzgórze grodowe, a stromą gliniastą krawędź wysoczyzny pociętą licznymi, krótkimi parowami. Krawędź tę, obecnie bezleśną, porastał niegdyś gęsty las, czolo rozległej puszczy pojezierza. Z krawędzi, z głębin lesnych spłynęła pod Nakło pomorska odzież, a na owej podmiejskiej łące rozegrała się pamiętna bitwa, w dniu św. Wawrzyńca.

Rozmiary łąki świadczą dowodnie, że Gall, pisząc o trzydziestu tysiącach Pomorzani przesadził potężnie. Taka liczba zbrojnych po prostu nie zmieściłaby się na paśmie nadnotecznej równiny, a tylko tam, na równinie, piesza armia pomorska mogła załamać się pod szarżami polskiej kawalerii. Na pociętym jarami i zadrzewionym stoku wysoczyzny jazda byłaby, oczywiście, zupełnie bezradna.

Miasto Bayeux we francuskiej Normandii służyło się jedynym w swoim rodzaju muzeum. Zawiera ono jeden tylko eksponat: słynną makatę królowej Matyldy. Królowa Matylda była żoną Wilhelma Zdobywcy, księcia Normandii, który w roku 1066 w bitwie pod Hastings, wywalczył sobie angielską koronę. Makata, rzekomo dzieło rąk królowej, a w istocie wykonana pewno na jej dworze, to ogromny pas tkaniny, długi na parędziesiąt metrów i pokryty różnobarwnym haftem. Przeznaczony do ozdabiania ścian jakiejś wielkiej, zamkowej sali, przedstawia dzieje wyprawy normandzkiego Wilhelma na angielską wyspę. Wśród historyków kultury średniowieczna makata z Bayeux cieszy się zasłużoną sławą. Jest nieocenionym źródłem, mówiącym nam o przebiegu i szczegółach życia w XI wieku. Życia i śmierci, bo znaczna jej część poświęcona jest scenom bitewnym. One to właśnie interesują nas, dających szlakiem walk polsko-pomorskich. Oto anglosaska armia na polach Hastings występuje w szyku pieszym, podobnie jak Pomorzanie pod Nakłem i podobnie jak oni, mimo dzielnego oporu, ulega dobrze dowodzonej nieprzyjacielskiej konnicy. Jest to zjawisko symptomatyczne. Ciężka kawaleria rycerska, stanowiąca na przeciąg trzech stuleci siła rozstrzygająca na europejskich polach bitewnych. Dopiero w XIV wieku strzały angielskich łuczników, halabardy Szwajcarów, maczugi flandryjskich milicji miejskich i fanatyzm tureckich janczarów wstrząsa tą hegemonią, zwiastując świt nowej epoki.

Wróćmy jednak nad Notecę. Klęska pod Nakłem zachwiała Pomorzem, ale go nie powaliła. Dwadzieścia lat trwały jeszcze działania wojenne, aż wreszcie rok 1129 przyniósł definitywne zwycięstwo Bolesława, jednocześnie państwa polskiego nie było, jak widać, sielanka! Nie wiemy w dodatku, czy w dawniejszych, trudniejszych do zbadania czasach jacyś Kujawianie, albo Mazowszanie, nie bronili się przed piastowską władzą równie zaciekłe, jak później ich pomorscy pobratymcy.

A jednak separatyzm plemienny prowadził do nieuchronnej zguby! Przekonało się o tym szcześliwie, zachodnie Pomorze, które zerwanie związku z Polską opłaciło niewolą niemiecką i gruntowną germanizacją. Pomorze gdańskie w ostatniej chwili zawróciło z niebezpiecznej drogi i na nim też tylko, w granicach Polski ocalałi Kaszubi, potomkowie obrońców Nakła i Wielenia.

^{*)} Gwoli ścisłości trzeba dodać, że zdaniem niektórych uczonych Gall miał na myśli inny Międzyrzecz, a nie ten nad Obrą.

MARSZ
MENDELSSOHN

Powinowaci poznali się dopiero w sądzie, przez dwa dni okupują ławy „dwunastki”, drugiej co do wielkości sali tego gmachu. Podczas przerwy, na korytarzu dali upust demonstrowanej już wcześniej niechęci. Była kotłowniana i mocne, niesprawiedliwe słowa.

Człowiek, który rozbudził te wszystkie namiętności, siedzi na ławie oskarżonych. Ma wynieciony garnitur i niezbyt świeżą koszulę rozpiętą pod szyją. Obcym wzrokiem patrzy na swoich krewnych i powinowatych, z nikim nie chce się sprzymierzać. Klują go złośliwe szeptki:

— Ty nasz piętnastominutowy szwagrze!

Przed bariera dla świadków tłoczą się biessadnicy ponurej uczy weselej, uczy w pozycyonym mieszkaniu, z obcymi przypadkowymi ludźmi. Z ich zeznań układa się teraz niezbyt klarowny obraz tamtego wieczoru, który pana młodego wprost od zastawionego stołu zawiódł na ławę oskarżonych.

Pod lato 1966 roku przyszło na Cecylię I. wielkie oczarowanie, poznała mężczyznę nazwiskiem Jan Ratajczyk. Były sekretne spotkania na poczęcie i szaleńcza podróż na trasie Łódź — Głowno. Wszystko działo się w takim tempie, w jakim realizują się największe uczucia, albo największe mistyfikacje. Po miesiącu uważali się za narzeczonych.

Wybranka Jana Ratajczyka nie jest już pierwszą młodocianką. Ma odchowane dzieci, syna w wojsku, córkę za mężem. On sam nie ukonczył jeszcze lat trzydziestu, ale różnica wieku między nim a przyszłą żoną, nie wydawała mu się największą przeszkodą. Przed sądem nie mówi, że ją kochał.

— Chciałem poprawić swój byt — stwierdza.

Jan Ratajczyk, rocznik trzydziści siedem, był już raz żonaty. „Ojciec jednego dziecka w wieku 8 lat z poprzedniego małżeństwa” — przypomina tę okoliczność akt oskarżenia. Z zawodu jest dzielnym, zarabiał 1400 zł miesięcznie. Po zerwaniu więzów z rodziną, którą sam założył, nie od razu zaczął płacić na swe dziecko. Ze względu na zadłużenia alimentacyjne z poborów potrącano mu dwie piąte.

Ale Jan Ratajczyk umiał być przedsiębiorczy, nie podobala mu się ta samotność, w której musiał wiazać kontę z kołosem. W fabryce, gdzie pracował, poznał nieco starszą od siebie kobietę. Nie była wolna, ale zamieszkała razem jako małżeństwo.

Ta kobieta jest jedyną, o bok matki, życzyła mu na sali osoba. Zeznaje z godnością, na jaką potrafił się zdo-

być tylko człowiek, którego już niejedną ciocią spotkał w życiu. Dwa lata, które wspólnie przeżyli, dopóki Ratajczyk nie poznał Cecylię I., uważa za swój najszcześniejszy okres.

— Był lepszym człowiekiem, lepszym niż mój mąż — tłumaczy sądowi.

— Czy bił ją? Kręci przecząco głową.

— Był delikatny — stwierdza z najgłębszym przekonaniem.

I jeszcze mówi:

— Mielśmy mało pieniędzy.

Jan Ratajczyk chciał sobie poprawić byt. Są to jego własne słowa, które wypowiedział przed sądem opuszczając głowę. Nie mówi o uczuciach ani do tej, która została, ani do tej drugiej, która wciąż jeszcze jest jego żoną.

Aby wysłuchać Cecylię Ratajczyk sąd musi przenieść swoje posiedzenie do szpitala. Za białymi, potężnymi drzwiami pokoju adjukanta małżonkowie spotykają się po raz pierwszy od dnia swego wesela.

— Janek nie żądał ode mnie pieniędzy, ani nigdy o nie nie prosił — zeznaje kobieta siedząc na wózku do przewożenia chorych.

W jej nieprzytomnym wzroku są iskierki przebaczenia. Jan Ratajczyk chciał sobie poprawić byt. To Cecylia rozwinięta przed nim perspektywą nowego, lepszego życia. Widziała go za kierownicą taksówki, którą można by kupić pożyczając pieniądze od jej brata, stołecznego kamaznika. Opłaty za kurs prawa jazdy wnieść chciała z własnej kieszeni. Wydawało jej się też, że ma dość pieniędzy na kupno mieszkania.

— Kazala mi wybrać mieszkanie, a kiedy wybrałem, po wiedziała, że pieniądze została córki — wyjaśnia sądowi oskarżony.

Córka Cecylii była przeciwna temu nieoczekiwanemu małżeństwu matki. Inni krewni także — pokazywali drzwi. Ta niechęć miała się brać stąd, że Jan Ratajczyk bił narzeczoną. Tak twierdzą liczni krewni Cecylii, ona sama nie wypowiada się jednak na ten temat, w niej samej jest jakiś nie wypowiedziany głosno żal do rodziny, że w tamtym najważniejszym dniu nie wzgardziła.

Zamężna córka Cecylii Ratajczyk, przekładając z ręki do ręki siatkę na zakupy, przypomina swoje rozmowy z matką na ten temat.

— Oświadczyła mi, że weźmie ślub i nikt jej w tym nie przeszkodzi — akcentuje każde słowo swojej wypowiedzi.

Bo były takie próby.

W zeznaniach powinowatych Ratajczyka natrętnie wraca kwota 2000 złotych. Każdy z nich historię tych pieniędzy przedstawia nieco



odmiennie, zeznania różnią się w szczegółach, ale w szczytach istotnych. Najbardziej zorientowana w tej materii Cecylia Ratajczyk mówi, że pieniądze pożyczyla bratu swego przyszłego męża. Krewni Cecylii widzą to wszystko zupełnie inaczej.

W sierpniu 1966 r. narzeczony złożył w Urzędzie Stanu Cywilnego papiery wymagane przy ożenku, dostali pokwitowanie, które Jan Ratajczyk nosił przy sobie w portfelu.

W ustach świadków pokwitowanie to nazywa się „kartką na ślub”, przypisują jej nadzwyczajną moc, mówią o szantażu. Cecylia miała podobno zażądać zwrotu tej „kartki” i wtedy Jan Ratajczyk określił jej wartość na dwa tysiące. Przytaczamy tę okoliczność, aby wysłuchać jak trudne miał zadanie przy ustalaniu prawdy o zdarzeniach. Cecylia Ratajczyk ma cztery siostry i pięciu braci, blisko połowa tego rodu stawa składa zeznania nie ta jąc swojemu nienawistcy do oskarżonego.

Do wyjścia za mąż Cecylia Ratajczyk mieszkała u córki. Mówi:

— Od dwudziestu lat żyłam samotnie.

Zdawało jej się, że teraz ma szansę na odmianę, trafił jej się człowiek, którego za wszelką cenę chciała przy sobie utrzymać. Gotowa była kupić sobie szczęście z pieniędzy, których reszta nie posiadała, które trzeba było dopiero pożyczyć.

Niewiele wiemy o jej próbach przekonania rodziny, że rzeczywiście uważa się za szczęśliwą wybrankę losu. Jakichś odprysk tych wysiłków odnalazł można w zeznaniach jej córki. Młoda kobieta, prze kładając z ręki do ręki siatkę na zakupy nie ta, że matce bytoby przyjemnie, gdyby przyjęła zaproszenie na ślub, ale go nie przyjęła. Wylicza, co matka zabrała z domu na nową drogę życia: czarna sukienka, dwie spódnice i jakieś bluzki.

— Chciała wesele wyprawić u mnie w mieszkaniu, ale się nie zgodziłam.

Ta stanowcza rozmowa miała miejsce trzy dni przed weselem.

Doświadczenie z własną córką uczyniło Cecylię I. wstrze mięliwą w prośbieniu o pomoc najbliższej rodziny. Była bezdomna, kandydat na męża także nie posiadał własnego dachu nad głową. Wtedy przypomniała sobie o starym znajomym, który mieszkał w Łodzi i przed laty sma lił do niej duby.

Starszy mężczyzna w okularach opiera się o barierkę dla świadków.

— Nocowałam u mnie dwie noce — mówi lekko chrypiącym głosem. — Dałem im na wet własną poduszkę, spali na podłodze. Na materacu — dodaje na pytanie sądu.

Ten mężczyzna to gospodarz mieszkania, gdzie odbywała się uroczystość.

Słowo „uczta” niezbyt zresztą pasuje do rzeczywistych rozmiarów przyjęcia wyprawionego przez bezdomnych małżonków.

Od samego początku powstały komplikacje.

— Idąc do ślubu nie mieliśmy drugiego świadka — wyjaśnia uczynny gospodarz mieszkania. — Ratajczyk powiedział: Weźmiemy pierwszego dziada z ulicy, ale postawimy na swoim.

Ostatecznie gospodarz mieszkania zwerbował na świadka ślubnego swego sąsiada, który akurat szedł do sklepu. Był niewiastwie ubrany, ale podobała mu się ta dziwna przygoda, prosił, żeby chwilę poczekał, aż się wyszyfuje. Do Urzędu Stanu Cywilnego pojechał wszyscy czworo tak sówka, mocno spóźnieni. Czekał tam na nich szwagier Cecylii I., który jednak nie dał się zaprosić na wesele.

17 września 1966 r. w sali ślubów USC Łódź-Sródmieście rozległy się patetyczne dźwięki marsza Mendelssohna. Cecylia I. uśmiechała się.

— Była ciągle uśmiechnię-

ta — przypomina sobie świadek.

Ten uśmiech dziwnie kontrastował z jej czarną, niemal żalobną sukienką.

Drugi świadek ślubny, ten w ostatniej chwili namotany sąsiad, barwnymi sformułowaniami opisuje obraz idylli nowożeńców. Ma dar rozmieszczenia ludzi. Był tym, który wznosił pierwszy toast za zdrowie młodej pary pod nieobecność gospodarza domu. Sądząc po wyjaśnieniach, jakie składa sądowi, musiał po tętnie śmieścić oblubieńców, choć Ratajczykowi było wtedy nie do śmiechu.

Pomimo wymownej nieobecności krewnych, których na przyjęciu reprezentowała tylko czterastoletnia siostrzenica, Cecylia Ratajczykowa czuła się szczęśliwa. Nie dostrzegając brzydoty tego pożyczonego mieszkania, ani ubóstwa uczy, która nie była nawet skromnym poczęstunkiem.

— Zachowywała się swobodnie — określił stan tej euforii gospodarz mieszkania.

Drugi świadek ślubny okazał się człowiekiem praktycznym. Zauważył, że jak na wesele, uroczystość przygotowana przez Ratajczyków przedstawiała wiele do życzenia. Poszedł do swego mieszkania, przyniósł radio i płyty, próbował budować nastrój. Przy muzyce gości w sali wypili litr wódki i otworzyli trzecią, ostatnią już półlitrową butelkę.

Ratajczyk wywołał swoją żonę za przepięknie. Siostrzenica widziała, że uderzył ciolkę za to zastaną, ale ciolka nie poskarżyła się żadnemu z gości. Muzyka grała dalej i Cecylia Ratajczykowa uśmiechała się do siebie i do światła, uśmiech nie schodził z jej ust. Właściciel mieszkania także był zadowolony, już od wielu dni nie popił sobie tak solidnie jak podczas tego zwariowanego wesela.

Nieoczekiwanie pan młody po raz drugi popił ten na siłę budowany nastrój weso-

łości. Kiedy żona pominęła go przy rozlewaniu wódki do kieliszków, zaprotestował gwałtownie ordynarnym posadzeniem. Gospodarz, mocno już wstawiony, podsyłał jeszcze jego zadrzniętą pijacką przechwałką.

Sąsiad gospodarza mieszkania poczuł się nieswojo. Raz, że za chwilę z pracy miała wrócić jego własna żona, a on nie przygotował obiadu, dwa, że zanosilo się na coś niedobrego. Wychodząc zabrał radio i płyty.

— Ale powiedziałem, żeby bawili się grzecznie — stwierdza.

To, co się stało później, nie nadaje się do opisu. Gospodarz mieszkania zapytany przez sąd, czy odniósł jakies obrażenia w tym zajściu, odpowiada z wahaniem:

— Właściwie to nie. Tylko miałem pęknięte trzy zęba.

Ale Jan Ratajczyk wyładował całą swoją wściekłość na żonę. Zagrał groteskową, karykaturalną rolę Otella. Gdyby nie wesołkowi sąsiad, który odtrącił go od leżącej bez czucia żony, Ratajczyk stanąłby przed sądem jako zabójca. Akt oskarżenia zarzuca mu usiłowanie zabójstwa.

Sąd zmienił prawną kwalifikację czynu: Jan Ratajczyk został skazany na 6 lat więzienia za spowodowanie trwałego kalectwa swojej żony. Wzięto pod uwagę to, że działał pod wpływem silnego wzruszenia. W uzasadnieniu wyroku wyrażono nadzieję, że po odbyciu kary wróci do żony, aby wynagrodzić jej choć w części nieodwracalna, straszna krzywdę, która wyrządził swym czynem. Zdawało mu się, że Jan Ratajczyk kiwnął w tym momencie potakującą głową. Potrzebna jest nam ta wiara w człowieka nie mniej niż oskarżonemu. Chociaż stary Rochefoucauld powiada: „Często przechodzi człowiek od miłości do ambicji, ale rzadko wraca od ambicji do miłości”.

Wesołych Świąt

Szef powiedział, żebym poszedł do Pogotowia, odszukał lekarzy, co rok temu, w Wielkanoc, pełnili dyżur i żebym na podstawie ich wspomnień napisał reportaże, ale grzeczny, bez żadnych naturalistycznych opisów i niepotrzebnego rozlewu krwi, gdyż w numerze świątecznym takie rzeczy nie przystoją i mogą urazić czytelnika.

Szefa trzeba się słuchać! Poszedłem na Pogotowie przy ulicy Sienkiewicza. Odszukałem lekarzy. Poszliśmy do klubu na pierw-

kalichlorok — mówi pan doktor (nazwiska nie podaje, on sobie nie życzy) — albo korkowce, straszaki, albo zwykłe klucze od mieszkania, które napycha się slarką, zatyka spłowanym gwoździem, i lubudu tym o ścianę za pomocą sznurka, żeby huk był Panu Bogu na wiwat!...

— „Dużo nieszczęścia z tego — ciągnie pan doktor i wspomina pierwszy dzień świąt z ubiegłego roku: — W południe otrzymałem wezwanie do wypadku. To było na jednej z bocznych uliczek przecinających Aleksandrowską...

Zaraz — myślę. Szybko myślę. Nie przerywając doktorowi. Zaraz, ja to niedawno widziałem, idąc do Pogotowia; dwóch chłopaków, z tarczami na ramionach, wielki kamień posypany zielenkawy proszkiem, oni też kamienie mieli w rękach, skupione, napięte, szczeniackie twarze, tłukli z rozmachem w zielenkawy proszek, ale eksplozji nie było, ludzie ich mijali, obojętnie, ja też, nie się przecież nie stało, proszek zwietrzył, może wilgotny, oszukał chłopaków w aptece, nieładnie, oni przecież robili próby, żeby uczcić Wielką Noc, żeby huk był, straszny, w całym mieście, i tynek odpał z domów...

— „Mam silne nerwy — ciągnie doktor. — Niejedno w życiu widziałem. Ale to było straszne. Ten chłopiec, może osiemnaście lat, jasna,

kedzierzawa głowa, mleko jeszcze pod nosem — to mi się rzuciło najprzód w oczy, żeby nie mówić o krwi — a potem reka, prawa, opalona, odarta z wszystkich części miękkich, a w brzuchu ogromny kawał blachy, bo on swój ukochany kalichlorok na beczie położył żelazną i kiedy uderzył z góry kamieniem, becza rozewała się w kawały...

Przepraszam. Zapędziłem się trochę. Szef kazał grzecznie, bez makabry i naturalistycznych opisów, bo to numer świąteczny i nie można zrażać czytelnika.

Szefa trzeba się słuchać.

Więc, moi kochani ludzie, Wielkanoc to bardzo przyjemna impreza. Sami się zaraz przekonacie, bo już na pewno kupiliście dla swoich smyków różne colty, karabiny i korkowce. Czy to znaczy, że oni muszą sobie wybijać oczy? Albo strzelać w usta? Albo krzywdzić tym młodsze rodzeństwo? Nie! Wcale nie znaczy. W tym roku, miejmy nadzieję — skończy się na niewinnie poparzonych rękach, osmolonych włosach, na niewielkich pożarach, które szkoda przyniosą złym sąsiadom, a oszczędzą tych, co je wnieśli, na przestrzelonych nogawkach u spodni (bez naruszenia tydek) i podkutym lekko oku. A co huku będzie, to będzie. Aż bębny w uszach zabola. No i Pogotowie przy okazji będzie miało robotę. Jak w zeszłą Wielkanoc.

Siedzimy przy małym stoliku, nad wystygłą kawą. Ale skład nasz ciągle się zmienia. Jedni odchodzą, wzywani do wypadków (tych przedświątecznych, ale także typowych), inni powracają z interwencji, relacjonują na świeżo przeżycia, a to kobieta jakaś z drugiego piętra spadła, okna myjąc...

— Wstrząs mózgu? — pytam.

— Tak, oczywiście, wstrząs — mówi pani doktor. — Tylko, że u nas nie mówi się: wstrząs. Mówi się wstrząśnienie.

...a to ktoś spirytus skażony na Wielkanoc ukradł, nie wytrzymał, popróbować wcześniej, stąd wcześniej tragedia.

— To nie tragedia — włącza się pan doktor. — To szczęście. Bo co by było, gdyby świąt doznał, całą rodzinę do stołu posadził. Przecież dzieciom na Wielkanoc też się wódkę daje...

— Ba, żeby tylko dzieciom — młoda, zatroskana twarz pani doktor. W zeszłą świątę widziałam czterotygodniowe niemowlę kompletnie upojone alkoholem.

— No dobrze, ale jak to może być?

— Po prostu. Troskliwa babcia nacierala niemowlaka spirytusem. Co godziną. A skóra przecież chłonie.

— Zamierzcie średniowiecze.

— Ba!

— Czy nie sprzedalibyście małpy? — Kocha ni, czy nie można by u was kupić skóry z węża? — Dlaczego u hipopotama jest brudna woda?

Z tej krótkiej serii pytań chyba się już Państwo domyśliście, że tym razem rzecz będzie o ZOO. A ponieważ nieublagane cyfry wskazują, że my łodzianie o wiele chętniej odwiedzamy Ogród Zoologiczny niż np. muzea, stąd i prosty wniosek, że i podczas świątecznych dni wielu z Czytelników spotka się przed wybiegiem dla zielonych pawianów, podziwiając, komentując i kręcąc nosami na igraszki, miłych skądinąd, zwierząt.

Nie będę Państwu służyć przewodnictwem, bo i zoolog ze mnie nie najtęższy, a i ZOO tego nie wymaga; liczne tabliczki wskazujące kierunek i informujące o zwierzętach, dla statystycznego „zwiadczaka” starczą. A moje informacje niech posłużą jako uzupełnienie własnych już wrażeń wyniesionych przez Państwa z zoologicznego spaceru.

I żeby chociaż raz nie zaczynać od początku, czyli od tzw. „rysu historycznego”, mam propozycję — zajrzyjmy do kuchni. Chociażby z tego względu, że warto porównać nasz suto zastawiony świąteczny stół z jadłospisem w ZOO. Co zwierzęta jedzą? — Siano, zielonki, buraki, mięso, owady, rodzynki, słodkie ciasto, zupy warzywno-mięsne, zupy mleczne, kaszę z mięsem, siemię lniane, kogel-mogel, orzechy, cukierki, pomarańcze, banany, paszety z mięsa, ryż z witaminami i cukrem, płatki owsiane z dżemem, miodem, mlekiem, jajami, olejem i tranem, które to płatki są ulubioną potrawą wszystkich małp i jeszcze sporo różnych artykułów żywnościowych. Każdemu według potrzeb. A potrzeby są bardzo różne. Na przykład małpka ustiła jada nie więcej jak kilka kdg karmy składającej się z owoców, rodzynek, różnych owoców, mleka z mianą, miodu, kompotu i słodkich ciastek. A dla zaspokojenia apetytu lwa morskiego, który jest mniej wybredny, bo wystarczają mu tylko ryby, potrzeba tych ryb 15 kg dziennie. W tej sytuacji lwy morskie i foki zjadają najwięcej z 2,5-milionowego rocznego budżetu przeznaczanego na żywność; najmniej gady, bo krokodyl może np. pościć przez 6 miesięcy, a węże dostają pokarm raz na tydzień. Mimo to nie są wcale głodne, proszę ich nie dokarmiać; nie są głodne również małpy, foki i „zabraki niedźwiedzie”. A już przestępnie jest zamienianie bułkami i wędliną basenu, w którym pływała foka i lwy morskie. One jedzą tylko ryby!

sując środki powszechnie już znane i wypróbowane w medycynie ludzkiej.

Przy ambulatorium istnieje również laboratorium parazytologiczne, które wydało wojnę pasożytom, pracownia hematologiczna i histologiczna, które przeprowadzają również analizy dla innych ogrodów zoologicznych w kraju. Okazuje się, że nie tylko człowiek ma prawo do tzw. stresu, zjawisko to często obserwuje się wśród zwierząt niedawno odłowionych. Przystosowanie się do nowych warunków, z których ograniczenie ruchu, brak naturalnych kryjówek, zmiana temperatury, wilgotności i nasłonecznienia, to tylko te najważniejsze, często trwa bardzo długo. Stres objawia się apatią zwierzęcia, które odmawia przyjmowania pokarmu, w skrajnych przypadkach zwierze ginie. Tak zginął szympan, dokładna sekcja wykazała zmiany w nadnerczu, wywołane właśnie szympansem stresem.

Ponieważ zawsze łatwiej jest zapobiegać niż leczyć, duży nacisk kładzie się na profilaktykę. Dlatego właśnie stosuje się stałe dodatki mineralno-witaminowe do pasz, specjalnie dobrane mieszanki zielonki tak, nie tylko my pijemy ziółka, czy też parzone drożdże.

BOGDA MADEJ

I LE KOSZTUJE METR PYTONA?

Pamiętając o starym „jak cię widzą, tak cię piszą” przeprowadza się także zabiegi higieniczno-uwikaszające — kąpiele, pielęgnacje futer i kilka razy w roku korygowanie i struganie racic i kopyt.

Skóry z węża oczywiście kupić nie można, małp, mimo szerokiej „akcji wysyłkowej” do ogrodów w kraju i za granicą, ostatnio np. do Argentyny, prywatnym handlowcom też się nie sprzedaje. Można w ZOO kupić najwyżej papużki i rybki, a w ogóle kontakty handlowe utrzymuje się raczej z poważnymi firmami zagranicznymi, skąd za ciężkie pieniądze sprowadza się egzotyczne zwierzęta, żeby mógł człowiek na własne oczy zobaczyć, jak też to wygląda stwor, o którym się w szkole kiedyś uczył. Część zwierząt pochodzi z wymiany między ogrodami zoologicznymi, a trzeba tu zaznaczyć, że łódzkie ZOO utrzymuje ściśle kontakty z ogrodami w NRD, Czechosłowacji, Finlandii, Rumunii, Danii, ZSRR i wieloma innymi, ba, nawet z dalekim Izraelem.

A skoro już o handlu mowa. Najdroższe zwierze w łódzkim ZOO — nosorożec, sprowadzony w lipcu ubiegłego roku z NRF kosztował około 300.000 zł. Dla orientacji i lepszego rozeznania krótki wyciąg z cennika — stoń indyjski kosztuje około 115 tys. zł, szympan około 18 tys., czarna pantera — 46 tys., lew jest stosunkowo „tani”, kosztuje tylko trochę ponad 20.000 zł.

A kupna małpy odradzam — lepiej hodować psa, dużo mniej kłopotliwy.

Starszym łodzianom przypominamy, młodzi niech sobie utrwala w pamięci datę powstania łódzkiego Ogrodu Zoologicznego — rok 1939. Myli się jednak ten, kto sądzi, że były to pierwsze próby utrzymania zwierząt i udostępnienia ich szerszej publiczności. Już Grohman, w parku otaczającym pałac trzymał jelenia, sarny, wilki i niedźwiedzie. Geyer w r. 1841 obok zwierząt krajowych hodował także małpy, Scheibler gromadził egzotyczne ptaki. Pierwszy publiczny zielony las założony na terenach parku w Helenowie bracia Anstadto- wie. Ze skąpych wiadomości prasowych wiadomo, że trzymano w nim niedźwiedzie małajskie i brunatne, wilki, jelenie, daniele, dziki, sarny, zajace i białe pawie. Nawiązane kontakty z wieloma zagranicznymi ogrodami pozwoliły wzbogacić ogród łódzki o zwierzęta egzotyczne. Ale przyszła I wojna światowa. Niemcy wywieźli co atrakcyjniejsze okazy. W lipcu 1925 r. część zwierząt zwrócono i znów przystąpiono do uzupełniania łódzkiego zbioru. W 1938 r. cały park w Helenowie, a więc i zwierzęta stały się własnością akcjonariuszy z Bidermannem na czele. W dwa lata później, już podczas okupacji niemieckiej, park został oddany pod zarządek miasta, a zwierzęta przeniesiono do istniejącego już, Ogrodu Zoologicznego na Zdrowiu. Jaka była droga rozwoju ZOO przypominać nie trzeba, pamiętamy jeszcze ciasne klatki i budki kryte słomą. Dziś publiczność stapa po asfaltowych ścieżkach, „wyprodukowanych” nie tylko dla naszej wygody, ale przede wszystkim w celu zmniejszenia zanieczyszczeń pyłem i kurzem, wywołującym u zwierząt pylicę. Zmienił się również charakter ekspozycji — część zwierząt otrzymała piękne wybiegi oddzielone od publiczności głębokimi fosami, przebudowano szereg pawilonów i pomieszczeń. W tym roku otworzono wiewartum — pomieszczenie dla ptaków i gadów, przebudowane z dawnego budynku biurowego.

Dyrekcja postawiła sobie piękny cel — stworzenie w wiewartum pawilonu o charakterze wybitnie dydaktycznym, a więc pokazanie zwierząt pod kątem ewolucji, od najmniejszych rozmiarów okazów poprzez bezkręgowce wodne, świrszczyce, pajączki, ryby i płazy, do gada włącznie. A ponieważ przeciętny śmiertelnik lepiej zna słonia niż np. larwy różnych owadów, w okresie wiosennym będzie mógł wzbogacić swoje wiadomości, gdyż i takie okazy zostaną publiczności przedstawione.

Plany rozwojowe łódzkiego ZOO wiążą się przede wszystkim z budownictwem, stale jeszcze brak odpowiednich pomieszczeń dla zwierząt; w tej chwili buduje się wybieg dla lwów, tygrysów i gepardów, bojącą są w dalszym ciągu pawilony dla ptaków, marzy się o żyrafie, którą jednak łatwiej byłoby sprowadzić, niż już na miejscu ulokować. Dlatego marzenia o żyrafie trzeba zastąpić marzeniami o budżecie przeznaczonym na rozbudowę. Które są bardziej realne?

Warto obejrzeć zwierzęta, a jeszcze lepiej systematycznie obserwować ich zwyczaje. Można wtedy opowiedzieć np. o przyjaźni dwóch słoni. Podczas choroby jednej z nich, druga stale opiekowała się chora, pomagała jej wstać, podcierała, przy zastrzykach rzycała tak samo jak pacjentka.

Małpy np. są o wiele weselsze, gdy mają przed sobą dużo publiczności, gdy w ZOO jest pusto, siedzą ponure i osowiałe. Więc kto tu kogo ogląda? A znużony publicznością lew często broni się przed ludźmi, sprawiając im naturalny dyngus. Uwaga więc w lany poniedziałek, może pan lew będzie w złym humorze i włączy się do akcji powszechnego polewania. Do świąt przygotowały się również strusie australijskie, samiec wysiaduje 5 sztuk 80-dekagramowych jaj koloru zielonego, takie sobie zoologiczne pisanki.

Warto również przyszanąć się zabawnym pingwinom, które strasznie ciekawe i bardzo towarzyskie, biegają wszędzie stadkiem, śmieśnię kołysząc się na króciutkich nóżkach! Ale czy to jest czas przypatrywać się? Do ZOO jedziemy przeważnie w niedzielę i święta, kiedy liczba zwiedzających sięga i 20 tysięcy osób. Pechamy się przed kłatkami, bie gamy od pawilonu do pawilonu, aby zająć lepsze miejsce, a beżlitosny tłum popycha nas dalej. A przecież ZOO czynne jest cały tydzień.

Jacy jesteście? Raczaj okropni. Zachowujemy się niepoważnie; przekarmiamy zwierzęta, które w każdy poniedziałek z reguły chorują, oglądając węża marzmy — kobiety — sadystki!!! — o pantoflach i torebce, opowiadamy dziwne historyjki, jak chociażby ta o słynnej Lusi, która połknęła... dziecko, podczas, gdy wystarczy spojrzeć na tabliczkę, aby przekonać się, że hipopotam to zwierzę wybitnie roślinożerne. Więc bezduszni ignoranci? Nie wszyscy; jest część publiczności, która systematycznie odwiedza ZOO, ma tu swoich ulubieńców, przynosi im nawet przysmaki, ale nie wrzuca ich bezmyślnie do klatki, tylko oddaje dozorczy. Za taką publiczność nie potrzeba się rumienić przed patrzącymi z wyraźnym wyrzutem a czasem drwiną zwierzętami. Jedźmy więc na spacer do ZOO, ale pamiętajmy, że zwierzęta patrzą!

Aha, byłabym zapomniana — winna jestem Państwu jeszcze jedną informację — metr pytona kosztuje około 1200 zł!

WYSTAWA „KARUZELI”



— Wczoraj syn go złapał, ale nie wiemy jeszcze czym go karmić.

rys. Ibis-Jankowski

Tłok od wczesnych godzin porannych. Niesłychane to zjawisko w salach wystawowych. Ludzie — wszelkiej profesji — czytają dziesięcioletnią historię „Karuzeli” z satyrycznych, jakże znakomych rysunków i zachylają się niewymuszonym śmiechem. Mimo że wystawa trwa dopiero kilka dni — zwiedzający zapisali już entuzjastycznymi uwagami połowę pamiętkowej książki.

Szeroki jest zakres tematów podejmowanych przez satyryków „Karuzeli”. Obejmuje one realia i wielkie problemy polityczne, sprawy obywatelskie i społeczne, a także wydarzenia międzynarodowe.

„Karuzela” ma wiele znakomych piór od satyry. Niemal wszystkie nazwiska zaprezentowane na wystawie wchodzi do czołówki polskich karykaturzystów. A więc, kolejno. Karol Baraniecki, Wiesław Fuglewiec, Ludwik Golec, Stanisław Ibis-Gratkowski, Jerzy Ibis-Jankowski, Zbigniew Juška, Rajmund Klarczyk, Kazimierz Mozolewski, Józef Skonieczny, Edward Tomenko, Andrzej Walewski, Jerzy Wróblewski i Zbigniew Ziomecki. M. W.

— Głupota? — Bezdenia. Ale nie tylko. Czasami po prostu zła wola.

Jeżeli popytacie doświadczonych lekarzy — święta odkryją jeszcze inne objawy:

Święta, to okres wyjazdów poza granice miasta do miejscowości modnych, jak Zakopane czy Krynica, do krewnych z Krakowa albo z Grójca pod Warszawą. Tuż przed wyjazdem, dzwonią w Pogotowiu telefony. I sypia się kłamiwie mel-dunki. — Staruszka, osiemdziesiąt dwa lata, ciężki atak wątroby. Staruszek, lat dziewięćdziesiąt, zawał serca. O co to chodzi? O to, żeby na okres świąt pozbyć się z domu uciążliwej starości: dziadka zerzy-białego, zniechęconej babki. Wziąć takiego czy taką do Zakopca — nie można, poza tym — wstyd; zostawić w domu — strach, może coś podpalic, gaz zostawic otwarty, zje za dużo i dla innych zabraknie... Wiece dzwoni: zawał serca, albo atak wątroby, niech Pogotowie pomoże, niech Pogotowie poglaszcze, przytul, obdaruj opuszczonej starowinkę wielkanocnym jajkiem...

Przypadki takie można by w nieskończoność mnożyć — mówi lekarz. — Czasami trudno uwierzyć, że niektóre osobniki rodzaju ludzkiego posiadają serce. No, niech pan pomysli, w wigilie świąt wzywają mnie do ataku szawla. Ta oszalała ma być stuletnia prawna babcia. Z góry wiadomo, że to kłamstwo. Ale

jadę. Jeszcze przed wejściem do mieszkania, pod drzwiami, strzęp diałogu:

„No jak, zabiorą staruchę?” „Zabiorą”.

„Bo wiesz, jest już wpół do piątej”.

Wchodzi. To mieszkanie ma trzy pokoje. W pierwszym czysto. W drugim telewizor śpiewa i pół litra na biesiadnym stole. Babcia leży w trzecim, na brudnym, nie powleczo-nym łóżku, z walkiem od tapczanu pod głową, z rękami złożonymi na piersiach, jakby już nieżyła.

„Ona jest szalona”.

Mówi to najstarszy z bób w towarzystwie. Reszta rodziny przytakuje głowami.

„Dlaczego?” „A bo lato boso po mieszkaniu. Człowiek mądry na boso nie lata...”

Ale to słaby argument.

Więc wtedy wszyscy na raz, że ona zagraża ich życiu, ona; skóra i kości, im: babom grubym jak szafy i temu zbójowi najstarszemu w towarzystwie, o posturze zapaśnika.

3. Siedzimy w klubie Pogotowia, przy małym stoliku pod oknem, z głosnika na ścianie ciągle jakiś komunikat, ciągle ktoś wchodzi i wychodzi, bo gorączka przedświąteczna wzrasta. Przy innych stolikach — kierowcy, pielęgniarki i paru re-

konwalescentów ze szpitalika, który jest na drugim piętrze w tym samym budynku; rekonwalescenci słuchają jazzu z tranzystorów, popalają papierosa, a ci pielęgniarki, to zdrowi, silni chłopcy, najczęściej po maturze, poszli na ten niełatwy chleb w Pogotowiu, żeby sobie zarobić po trzy punkty do egzaminów na Akademii Medycznej. Praca w Pogotowiu jest premiowana, czemu się nie dziwie — pielęgniarki, to przecież gość, który poza dzwiganiem noszy, poza udzielaniem pierwszej pomocy — musi jeszcze — i wcale nie zadarmo — wymachiwać łopata czy kilofem, aby uwolnić karetkę z zasypanego, z blokad, musi ochraniać lekarza — jeśli jest nim drobna, wrażliwa kobieta — musi przebiegać się nieraz przez kordon milczących, nieżyczliwych ludzi, których zdaniem: Pogotowia tu wcale nie trzeba, i z chuliganami nie raz walczyć musi, aby pozwolił zabrać do karetki swego zadziornego, skrawionego kumpla. Oni mówią, abym się z nimi zabrał, chociaż jeden raz, żeby zobaczyć ich w akcji, więc wsiadam do karetki numer dwa, nie przyznając się wcale, że już w swej skromnej karierze, jeździłem parę dni z Pogotowiem, i że niezłe siupy widziałem, jedziemy z panią doktor, na klaksonie, aż ludzie przystają na chodnikach a tramwaje i auta na jezdni, i ta nasza karetka, „Nysa”, roztrzesiona jak w febrze, trzeszczy na kociach pery-

feryjnych łożach; i zabieramy do szpitala „Jordana” bardzo ciężki przypadek, którego wcale nie opiszę, żeby się szef nie obraził i czytelnicy, powiem tylko, że mieści się on w konwencji wypadków przedświątecznych.

A zaraz potem mamy drugi wypadek. Też z konwencji świątecznej. Ale mniej groźny. Bez zagrożenia życia. Więc się w jednej rodzinie po kłócił o podział pracy: kto okna wyczoruje, a kto szyby. Teściowa za tym wszystkim stała, jatrzyła, podbechtowała, i chłopak młody, dwudziestoletni, różną się żyletką marki Rawa-Lux. A kiedy weszliśmy do tego domu, na brudną, wilgotną, czyszową klatkę, drzwi na każdym piętrze stały półotworem, ludzie podglądali nas przez szpary, jaczocąc pod nosem z podniecenia. A kiedy weszliśmy do tego mieszkania, na podłozie i ścianach było pełno, no, wszystko jedno, trzeba grzeć, a czarna szmata na ręce chłopaka pęczniała od czerwieni, i nie była na tyle czarna, abym mógł tego nie widzieć, więc się nogi pod mną ugięły, miękkie jak z gliny, i wyszedłem stamtąd zaraz, żeby nie przysporzyć lekarce kłopotu, i byłem na niedozłego samobójcę śmiertelnie zły, że sobie tak przed świętami poczyna, a potem złodziej mi cała przeszła, bo w karetce, w drodze do Pogotowia, on tak

pięknie nam się zwierzał, o żonie z czułością mówił, i o dzieciach, bo już parke zdążył zmachać, musowo, na teściową jedynie pomstował: — No, nie mogłem już wytrzymać. Wyszedłem z nerwu!

Chciałem go jakoś pocieszyć! Ale nie znalazłem słów. Więc tylko sobie podaliśmy ręce — on zdrowy i ja zdrowa, i potem ja swoją drogą myć musiałem, bo ta jego — cała była w czerwieni...

4. Siedzimy sobie w klubie, paląc papierosa. Lekarze wciąż mówią i mówią, a indeks świątecznych chorób i wypadków wciąż rośnie i rośnie. I na przykład: ludzie ze skrajnego marginesu, rozrzućeni po melinach i strychach, robią sobie przed świętami krzywdę, aby spędzić Wielkanoc w czystym, szpitalnym łóżku... Albo: starsze kobiety, rozwieszające przed świętami franki, doznają licznych złamań kończyn górnych i dolnych...

Dość! Ani słowa! Ukochane święta nadchodzą, a ja tu kracze i kracze. Moji kochani! — Pijcie, zagryzajcie, bawcie się wesoło. Byłe w miarę. Żeby wam poszło na zdrowie.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Narodziny Postaci

(FRAGMENT POWIEŚCI)

— Gdzie jest liceum? — pytam pierwszej z brzegu.

— Na wycieczkę powinno być blisko rynku. Może za miotłami topól po drugiej stronie kościoła. Autobus spóźnił się, młodzież czeka.

— Spory kawalek. Jak tu wytłumaczyć... Był pan już w Szczercowie?

— Ja, nie. Byliśmy, ale sto dwadzieścia lat temu. — Ni stąd, ni zowąd wyskakuję ze mnie kabotyń. Nigdy nie wiadomo, co z człowieka wyskoczy. No i ta lezka łatwego wzruszenia... Jeśli to rodzinne, można by w jakimś momencie wykorzystać.

Kobiecina nie poczuła się zaintrygowana; nie zwróciła uwagi. Rzeczowo wyjaśnia: trzeba minąć rynek, w lewo, w prawo, znów w lewo — i duży budynek... Trochę daleko, lecz po raz drugi pytać nie trzeba; droga jest gęsto znakowana czerwonymi tarczami na rękawach krążących tam i z powrotem młodzieży... Co im powiem? Że będę pisał książkę. O czym? Na razie jest tylko miejsce na temat między dziwną metryką a kilkoma książeczkami in octavo; indeksami urzędników Królestwa Polskiego w latach 1842—1848. No i trochę niejasnej wiedzy o tym, co było po tej drugiej dacie. I jeszcze miejsce akcji. Mam je od kilku minut pod stopami, obejmuję wzrokiem i w trakcie spieszego marszu zagarniam do powieści. Niewiele mogę zagarnąć. Z tamtych czasów tylko święty Florian na rynku. Sto tu od czasów baroku z konewką w garści. Minę ma dziarską, ale nie zapobiegł siedmiu pożarom miasta. Ostatni, w czasach wojny, rozebrał je do kominów. Jak się rozbięra rybę do ości. Teraz ma już święty spokój; każdy domek z czerwonej cegły. Jota w jotę, domki dróżnicze przy starych drogach żelaznych. Ich cynkowane blachy mocniej straszą płomieniem niż hełm na głowie Świętego Strażaka... Jedno już wiem: grzebięniasty hełmek fascynował kilkuletniego Alberta.

— Ooo! — Rwał się ku kapliczce z wyciągniętym palcem.

— Fee, jaki brudny paluch! Chodź, chodź. Na wieczór będą dziś racuchy. Lubisz?

Kto wie, czy pomidorowy hełm i reszta paramilitarnego uniformu nie miały jakiegoś niedostrzeganego dla nikogo, włącznie z Albertem, wpływu na to, co się po latach zdarzyło, w życiu i w książce, którą nie wiem jak zacząć, i co o niej za chwilę

Rozmowa z Tadeuszem Chróscielewskim

ODGŁOSY: — Skończył Pan pracę nad powieścią „Szkarslatna godzina”. Może parę słów o procesie tworzenia tej książki? Czteryście stron maszynopisu — to trwało chyba dłużej niż rok?

T. CHRÓSCIELEWSKI: — Mój Boże... Pisałem całe trzy lata, noc w noc, na wszystkich marginesach wolnego czasu.

ODGŁOSY: — W jaki sposób układa się tak potężny materiał?

T. CHRÓSCIELEWSKI: — Ja rzeźbię. Powoli, z rozmysłem. Mając na uwadze wyważenie odpowiednich proporcji, aby zadość się stało anatomii utworu, aby rece były, nogi i głowa. Ale na początku jest mgławica; niedomyślono do końca problem, nieokreślony jeszcze temat i fabuła. Potem, w miarę postępu pracy, te trzy elementy zaczynają z sobą współgrać, jeden wspomaga drugi, jeden od drugiego jest zależny, wie pan — jak dźwięki w akordzie muzycznym... Następuje coraz większa konkretyzacja i utwór zaczyna żyć integralnie, wywiera presję na autora; obraz poclaga obraz, scena scenę; postać wyrwa się z pierwotnego zamysłu — ja mogę ją zniechęcić albo zakochać się w niej jak nieboszczyk Pigmalion, ale muszę szanować jej prawa naturalne, zdeterminowane rozwojem akcji.

ODGŁOSY: — To bardzo ciekawe. Może zechce Pan teraz poinformować czytelników o charakterze swojej powieści?

T. CHRÓSCIELEWSKI: — Będzie to książka o utraconym czasie, obejmująca lata przed Powstaniem Styczniowym, aż do pierwszych strzałów. Będzie to książka o „straconym pokoleniu” (określenie, bynajmniej, nie Scotta Fitzgeralda, nie Ernesta Hemingwaya... Był w dziewiętnastym wieku półzapomniany dzisiaj pisarz. Wolody Skiba, napisał powieść: „Nad poziomym” i młodych, zapalczywych chłopaków polskich, uciekających ze szkół do lasu, walczących w oddziałach partyzanckich — nazwał „straconym pokoleniem”). Będzie to zweryfikowana legenda mojej rodziny, mojego dziadka-powstańca, z całym bagażem wydarzeń, konfliktów i obyczajów charakterystycznych dla tamtej epoki. Akcja toczy się w Szczercowie, później w Piotrkowie Trybunalskim, wokół szkoły gimnazjalnej, gdzie narastają wśród młodzieży rewolucyjne nastroje. Skomplikowany jest proces dojrzewania tych młodych chłopców. Dramatyczne są spłoty tradycji i konwenansów z koniecznością wyboru, z pragnieniem zachowania uczciwej twarzy. Szkoła albo las. Dom albo karabin. Albo, albo: wybierać swoim nastoletnim mózgiem, opowiedz się wreszcie — z nami czy z nimi.

ODGŁOSY: — Czy przeprowadza Pan również odautorską ocenę wypadków poprzedzających wybuch powstania?

T. CHRÓSCIELEWSKI: — Jest to zadanie dla historyków. Ja historii nie oceniam. Chcę ją tylko zrozumieć.

ODGŁOSY: — Kiedy „Szkarslatna godzina” będzie w księgarniach?

T. CHRÓSCIELEWSKI: — Myślę, że w pierwszym kwartale 1968 roku.

ODGŁOSY: — Dziękujemy za miłą rozmowę.

ROZMAWIAŁ: A. MAKOWIECKI

mocnego słowa, ale za tamto słowo samo w sobie. Wypowiedziane głośno, mogło stać się swym desygnatem. „Cholera, panie Tadeu — nie wiem, czy pan wie — to straszna choroba. Z Azji rodem. Tysiąc ludzi bije i w strasznych cierpieniach konają!...”. Wiece nie tak. Zwłaszcza, że to zaledwie dwanaście lat upłynęło od chwili, gdy przyszła z Azji rodem, z kraju kochających krowy Indusów, wylądka po obu walczących stronach całe korpusy wojsk, zabijając przy tym wodza nieprzyjaciół i samego Wielkiego Księcia, niegodnego męża naszej, świętej Panie nad jej duszą, współrodaczki Joanny z Grudzińskich...

— Do licha z tym kamieniskiem! — musiał zatem zawołać burmistrz Paweł.

Już go ujrzał. Wynurzył się z całkowitej mgły. Podobny do mnie. Tyle, że

steczku nad Pilicą”. Niech tu zostanie. Zwłaszcza, że o tym miasteczku — jak wynika z przebadania tek archiwalnych Warce — niewiele tu będzie mowy, choć Węgrzynek spędził w nim najlepiej zapamiętane lata dzieciństwa i chyba musiał często o nim kolegom wspominać jak ja wspominał o Wąwolnicy i Siedleach.

— Kropelkiewicz, usuniesz kamienisko i wykopsasz, do licha!

— Wielmożny Mączyński krzyknąć będzie — przestrzeżli policjant rozcierając ucho, jako że nie mieściło się pod magierką, a jest móż.

Móż jest szczegółem o tyle istotnym, że właśnie historycznie udukiemowanym. Kalendarz wielmożnego Jaworskiego z Warszawy — ten ze szczydowym rogiem Amaltei na okładce gwoli zachęcenia P.T. Prenumeratorów jeszcze nie pozwolił informuje, że jest dzień dwunastego grudnia tysiąc osiem set czterdziestego czwartego roku, dzień poświęcony obojgu wielkim świętym, Adalajdzie i Aleksandrowi, słońce wstało dzisiaj w trzydzieści i sześć minut po godzinie siódmej. Zaś księga pt. Sposób urządzenia meteorologiczne i sanitarne założona ongiś przez księdza rektora Kotowskiego w gimnazjum piotrkowskim, a od 1833 prowadzona już przez jego następców podaje, że dzień ten był jasny, hydrometr Kliker fuesa wskazywał 55 mm nasycenia i wiał wschodni wiatr, termometr Walfredina oznajmił 9 gradusów zimna, liczonego według systemu profesora Andrzeja Celsjusza. Zatem móż ściał ziemię i mamy oto twarde grunty pod nogami.

— Wielmożny lubię na nim nogę kłaść, żeby śnieg otrząchać i dyłów nie zabrzecztać.

Burmistrz Paweł machnął ręką w sposób oznaczający: „Nie zwracaj mi Kropelkiewicz głowy” i natychmiast zapomniał o kamieniu zakolał do drzwi.

Mączyński jest nauczycielem szczercowskiej szkółki elementarnej. Pokój, do którego wprowadził burmistrza, ma pozór pośredni między parafiańską „białą izbą”, bawialnią i kancelarią szkolną. Siedli po obu stronach okulałego stolika. Wisi nad nim na łańcusku długi cybuch z morskiej pianki ozdobiony u dołu rzeźbiarstwa wizerunkiem głowy buntowniczego generała Chłopickiego. Trzymanie takiej rzeczy na wierzchu nie świadczy o roztropności usposobienia rządowego nauczyciela. Lecz mniejsza teraz o to...

— Tak. Postępuje biedaczka — zwierza się trochę płaczący burmistrz. — Dawniej, to bywały ponoć niewiasty z Kany Galilejskiej, co gdy rodziły, to... — Potarł z desperacją czoło, aż kosmyk odtrąconych włosów musnął ryzykownie skraj świecy. — Kanonik się uparł. Aż wstyd mi od wielmożnego pana egzkwowować... Kanonik i niewiasta — nec Hercules. „Podgórska z wody ochrzciła, powiada, to i chrześną musi być”. Musiała z wody ochrzcić, bo niebożatko — wczesniak i pisać nie samperw nie chciał. A kanonik: „Nie może to być, żeby w księgach Świętego Chrztu inaczej stało na ziemi, a inaczej w niebieszech. Byłby to jawny nierząd w Kościele Pańskim, który jako na ziemi tak i w niebie jest jeden”. Armatę Teologii wyciągnął żeby mi pewnie dokuczyć i przez to i niewiasta gada to samo jak z panią matką paćierz. Ja jej jak dziecku: „Ależ, Sarenko dobrodziko, niebo to abstraktum, w niebie nie masz nijakiej kancelarii z księgami”.

Burmistrz umilkł, świadom tego, że mu wi mało składnie. Mączyński może co nać uprzednie przyzeczanie.

Nauczyciel w istocie kręcił się niespokojnie na krześle i patrzył na główkę d bucha takim wzrokiem, jakby się poróżmiewał z tamtym generałem w sposób wymignięcia się z tej niegodnej szlachet improwy. A może jednak sprawy burmistrza nie stały tak źle, a tylko Mączyński po prostu nie lubił zawiloci mow żywego będąc usposobienia.

— Jednym słowem, jegomość przyde raczysz rozkazać, żebym podawał pre dentowicza do chrztu, mając za kumę b kę kościelną, którą jejmość przyde zawałowała do rodów i ta najpierw ochr la dziecię z wody? N'est ce pas?

— Właśnie obarczony tą okolicznośc i pod rygorem kanonicznych supozycji to z powodu rankoru, jaki ma do r kanonik, cheiałem... znaczy, ośmielam

Mączyński rozcapierzył palce u obu i jakby rozstawiał kontrowersyjne ar menty, po chwili jednak poderwał się krześle i zawołał jak na dzisiejsze od czaje, ludzi powściągliwych w słowie i cie, nazbyt może głośno:

— Honor, jaki przyde czynisz rok zem podania do chrztu twoego pierwor go, tak jest wielki, iż dyshonor dziel go z dziadów ma się doń jak mówią ci, niby sroka do orła. A w ogóle to... Mączyński przesunął pojaśniałe oblicze żej świecy — ludzie są równi. A Kości ko to we włociańskiej kapocie chod i... — mimo woli podniósł po kościuszk sku palec w górę — A potem co był Nieprawdą?

Burmistrz nie rzekł nic.

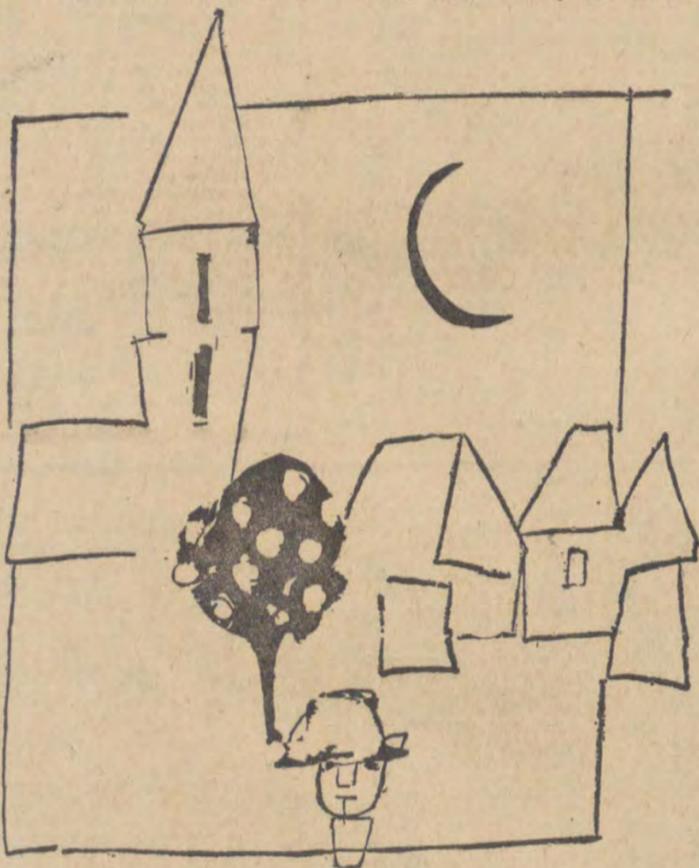
Oto liceum. Budynek niestary, ale i ciasny. Niebawem wmuruje się kami węglany pod nowy. Jeszcze nie ma pau i z kolejnych drzwi na korytarz dochod dobrze mi znane odgłosy. Jest jeszcze t che czasu. W małym gabinetu wice rektora Wolniak, znawca dziejów i dziejów miasteczka wprowadził mnie w i niektóre arkana swej wiedzy. Splótł r na sposób nieco plebański, twarz mu szerzyła krecha uśmiechu...

Przed chwilą nie było nic, tylko met ka, ale już się coś zaczęło. Trzeba bę w przyszłości niektóre cechy podpatrz u wnuków i prawnuków przenięci z i wrotem na dziadka i pradziadka. T skąd zapewne przyszły. Czyli odprowd na swoje miejsce — jak mawiał zaw mój ojciec, pedant, a więc wielki zwol nik egzystencji rzeczy ruchomych na i leżnych im miejscach... Jak to było i wiedziane? „Kości spod mej stopy w brzymie kształty wzdęły się i wzrosł. Bywają obrzmiem, bywają i na miarę d nej postury. Czy ożywiają, czy cały c chrome i rachityczne — to kwestia lentu. Ale sam akt tworzenia jest pod ny i właśnie jest pospólny pisarzem i leontologom. Szczęśliwy baron Cuvier C znalazł po latach szkielet prehistoryczn giganta, jota w jotę taki sam, jaki upr nie odtworzył na podstawie, znalezione drobno detalu kostnego. Ileż bym dał tej i w późniejszych chwilach, nim szc wy koniec uwieńczy dzieło, by poz prawde, czy i o ile zrekonstruowane przypadkowo odnalezionych i tych przetr lych w legendzie detali, wydarzenia, ich budki psychiczne i charaktery postaci odpowiadają tamtym odległym rzeczy stym. Mówia ludzie, którym przywyk kiedys wierzyć, że nastąpi kiedys c wielkiej weryfikacji na jakiejś straszli zatlonej dolinie, okrwawionej blaski błyskawic, oczernionej nawrotem wsz ykich chmur, rozgonionych ongiś słowat „Niech się stanie”. Ale gdyby nawet ta będzie to już pora po śmierci pisanego czytanego słowa. Zatem dotykam tajemn bezpowrotnej...

Pan Wolniak doszedł ledwie do czas Jadwigi i zaofiarowania przez nią m stu obrazu świętej Barbary... Uder dzwonek. Zrywa się tak dobrze mi zn rwtetes. Uczniowie maszerują z krzesel mi na sale. Czas iść i powiedzieć o tym, w myśl przyjętej na wstępie konwencji konoło się szybko, wystarczyło po droi zawiadzić nogą kamień... a w rzeczy ro się z wolna, w kamieniarskim mozoie tłuczki zdania po zdaniu, w porze, w k rej śpią już ludzie i bogowie, zle i t bre duchy, inspiratorzy literackich roz bek i ich ofiary, a w powleczonej kurz księdze parafii miasta Szczercowa z pr ległościami, która dziś leży za jednej półek lódzkiego archiwum nie przest: rodzić się i „wyrzekać szatana” uma od dawna człowiek.

Wyciąg z akt parafialnych parafii Szczercowa:

Działo się to w mieście Szczercow 1844 roku dnia 13 grudnia o godzinie d giej po południu. Stawił się Wielmoż Paweł... burmistrz, lat 35 liczący, w pr tomości Jakuba Kurysa, mieszczanina, 53 i Macjeja Kichelskiego, organisty, 62, obydwóch w Szczercowie zamieszkały i okazał nam dziecię płci męskiej w dr 11 grudnia roku bieżącego o godzinie d giej po północy urodzone z jego małżon Wielmożnej Antoniny z Neygerłów łw liczące. Dzieciuciu temu na chrzcie św tym w dniu dzisiejszym odbyłm nada zostało imię Albert, a rodzicami je chrzestnymi byli wielmożny Adam Maczy ski, nauczyciel szkoły elementarnej i Jad ga Podgórska, baba kościelna — oboje zamieszkałi. Akt ten stawiającemu i świ kom odczytany — przez nas, ojca dzieci i świadków, podpisany został dnia 13 gr nia 1844 roku. Podpisy (w tym jeden kr zykiem).



Rys. Barbara Paulikowska

powiedzieć młodzieży miasteczka, którego... Nie, bo nawet nie mury. Jeżeli to tylko...

— Cholera z kocimi łbami! — Potknąłem się obok ocalałego drewniaka. Kamień jest duży, kostropaty. Drewniak stary, z wnęką pośrodku. Wnęka jest niejako negatywnym ganku. Po bokach dwie wąskie deszczulki do patriarchalnych sjęst w długie, ciepłe wieczory. Kamień od dawna musiał tkwić w tym samym miejscu.

„Chollera!”... Nie, właśnie nie tak. Jeszeze tuż przed wojną pani Kazikowska ostro mnie strofowała, nie za samo użycie w irytacji

Kroki rewolucji



Obecnie na Zachodzie trwa dyskusja na temat tzw. literatury faktu. Problem ten zaczął nabierać nowego znaczenia także i w Związku Radzieckim.

Ostatnio, na łamach „Literatury Gazety” pisze na ten temat krytyk i wybitny teoretyk literatury Wiktor Szkłowski, przyjaciel Majakowskiego, Meyerholda, Gorkiego i wielu innych wielkich ludzi, którzy wywarli wpływ na literaturę rosyjską i na epokę, w której żyli.

Poniżej drukujemy fragmenty tego artykułu.

* * *

Historia literatury dokumentalnej nie rozpoczyna się w Rosji od Dostojewskiego. Sama jest historia. Puskini w swych opracowaniach w „Sowremenniku” zamieszczał utwory pamiętnikarskie — amerykańskiego Johna Tennera i panny-kawalerzysty Durowej. Jego zadanie polegało na powstrzymaniu Durowej przed literackimi opracowaniami materiałów, by zachować ich dokumentalny charakter.

Rosyjska krytyka bardzo wczesnie określiła teoretycznie znaczenie faktu w literaturze.

Nasza literatura nigdy nie miała się tylko w ramach powieści. Mamy „Rzeczy minione i rozmyślenia” Hercena i jego świetne dziennikarstwo, które ocenia się nie tylko jako demaskowanie ustroju, lecz także jako opis literacki. Tojstoj często korzystał z doświadczeń Hercena, zresztą przyznaje się do tego, uważał bowiem Hercena za jednego z najznakomitszych pisarzy minionego okresu. Wracając do Tojstoja, przypomnijmy, że „Najazd”, opo-

wiedania sewastopolskie — to reportaże z dokładnym podaniem czasu i miejsca akcji choć z fikcyjnym bohaterem. Lecz bohater ten podporządkowany jest obrazom podporządkowany faktom.

Rola faktu w twórczości Dostojewskiego jest ogromna. Po scenach czysto powieściowych następują sceny przedstawiane uprzednio przez dziennikarskie opisy, a niekiedy znów pomysł powieściowy wyprzedza gazetę. Tak więc historia zamordowania staruchy-lichwiarki wyprzedziła historię studenta, który rzeczywiście zamordował lichwiarza.

Sztuka nie jest kopia rzeczywistości. Lecz sztuka, w szczególności sztuka rosyjska, zawsze wykorzystywała rzeczywiste fakty i podkreślała dokładność faktu i w opisie a niekiedy w przypisach, a ponadto, zwracała się do czytelnika znającego te fakty.

Beletrystyka Sałtykowa-Szedrina porównywano z rzeczywistością ówczesnych czasów, a o „Historii pewnego miasta” Sałtykow-Szedrin mówił, że nie tworzy satyrę, lecz przepowiada. Przepowiednie spełniły się za jego życia. Było to doprowadzenie faktu do treści. Język w powieści Dostojewskiej jest językiem gazetowym. Jednak nie jest to język czysto dziennikarski, ale język oparty na ówczesnym rzeczowym publicystycznym języku.

Zainteresowanie literaturą dokumentalną nasila się w czasie rewolucji. I wcześniej rosyjska literatura pamiętnikarska była ogromna. Miała tysiące nazw. Bardzo niepełna bibliografia R. Minclowa, poświęcona rosyjskiej literaturze pamiętnikarskiej nie mieści się w trzech tomach, co prawda niezbyt obszernych. Po rewolucji stare pamiętniki (pamiętniki Panajewa, Panajewej, Boltowa) odczytano na nowo, zostały też na nowo spenetrowane rosyjskie historyczne czasopisma.

Znane są dokumentalne utwory Gorkiego, nie tylko takie jak trylogia autobiograficzna, lecz też pierwsze, noszące charakter swobodnego opowiadania, zmyślenia. Ciekawe, że w listach do Ilii Gruzdiewa, Gorki przekazywał dodatkowe wiadomości o bohaterach trylogii, podawał dokumentację zdarzeń, kwestionując fikcyjność bohaterów. Trzeba wspomnieć, że Czechow uważał biografie Gorkiego, biografie jeszcze nie napisane, ale już znane, za epokę, która oozostanie w pamięci na zawsze.

Dlaczego tak obchodzi przy literaturze dokumentalnej? Dlatego, że nadechodzi rok jubileuszowy. Opowieć pewną historię, która wydarzyła się na froncie, przed rewolucją. W Galicji, pod górą Kosmaczka, nasz związek rozbił niemiecki posterunek i zdobył przedmiot o niewiadomym przeznaczeniu — cylindryczny, hermetyczny zamknięty, ogromny. Dostarczono go do sztabu odtułu, do sztabu dywizji. Saperzy ostrożnie otworzyli zagadkowy przedmiot, przekonani, że to mina a z niego buchnęła para. Był to ogrom-

ny termos z kaszą. Zdarzenie to zrobiło na saperach i wszystkich którzy to widzieli, ogromne wrażenie. Odsoniło to nasze ówczesne techniczne opóźnienie, o którym obecnie zapomnieliśmy, zapomnieliśmy też jak milczące były nasze okopy pod koniec carskiej wojny, jak oszczędzaliśmy naboje, jak nie mogliśmy strzelać nawet wtedy, gdy wiedzieliśmy gdzie znajduje się nieprzyjaciel, wiedząc, że zbiera siły.

Dużo było korzeni rewolucji, lecz świadomość technicznego nieprzygotowania — to była ogromna krzywda narodu.

Mijają dni, wspominamy rewolucję. W gazetach drukowali to, co zostało w owe dni zapisane, dostrzeżone lecz jeszcze nie w pełni zrozumiane i może być zrozumiałe tylko teraz, przywrócićbyśmy czytelnikom wiele zapomnianych książek. Książek znanych dziś jedynie bibliofilom, lecz zawierających niepowtarzalne „znamiona” czasu, obnażających głębiej istotnych faktów.

Zbliża się 50-lecie rewolucji lutowej. Należy przypomnieć i pokazać obraz ulicy ówczesnego Piotrogradu — wojskowe patrole z kulmiotami, galopcy Kozaków, obdarte ulicę, czarne kolejki przed sklepami z chlebem i przed sklepami z syberyjskim mrożonym mięsem. Trzeba dostrzec pierwsze godziny niepewnej jeszcze rewolucji, ludzi, którzy cisnęli się do bram, lecz wy chodzili rozbijając oficerów. Następnie — nagły bunt oddziałów wojskowych i na białym śniegu szare, źle przepasane płaszcze żołnierskie, i pierwsze mityngi, pierwsze rewolucyjne pochody, czerwone sztandary, na których było dużo różnych złotych liter. Były podobne do czerwonych i złotych tulipanów, rozkwitających na wiosnę w Azji Środkowej całymi kępami, klombami, wielkimi jak miejskie place. Była wczesna wiosna. Na białym, niezarniełym śniegu pojawiły się kaluże, odbijało się w nich wesołe błękitne niebo z białymi obłokami i po tych kalużach i po wiosennych wybojach pedziły samochody pancerne, fordy przepelnione wojskiem.

To wszystko jest w książkach, wszystko to można znaleźć. Trzeba przytoczyć wspomnienia o przyję-

dzie Lenina, którego nie znało jeszcze miasto. Znalgi go jedynie rewolucjonisci. Pierwsze mityngi. Mityng w Michajłowskiemu manżu. I siłę przekonywania słów Lenina, brzmiających wówczas po raz pierwszy, niepodobnych do żadnych z dotychczas słyszanych, wykraczających poza coś a jednocześnie zrozumiałych. Odchodząc, ludzie zapomnieli o tym, o czym myśleli dotychczas, w nocy kłócili się ze sobą, kłócili i godzili się na nowo.

To konkretność kroków rewolucji. Winna ona iść jak literatura faktu, z jednego dnia w drugi, winna zająć w gazetach chociażby szpalte. Nie zawsze będą to ogłoszenia lub po prostu zapisany przez kogoś fakt. Fakt, który był niewiarygodny, lecz przyjął się jak coś oczywistego.

Nie było na czym drukować gazet. W drukarniach zamknięte waliki nakładające farbę, odbijały się od czcionek, farba nie chciała spływać, zamarała. Pomieszczenia trzeba było choć trochę ogrzać, już nie ze względu na ludzi, a po to, by ruszyła produkcja, trzeba było ciepłym ludzkim oddechem odmrażać farbę. Gazet brakowało. Jak je rozplakotać? Klej sporządza się z maki, ale nie było i maki. Trzeba było gazety moczyć wodą by przymarzały, lub przybijać je drewnianymi gwoździakami.

Obecnie nad wodami stoją elektrownie. Wolga przekształciła się w łańcuch jezior i cała szumia hydroelektrowniami. Na Syberii, spod wieczyńskich śniegów wydobywamy gaz. A my ciągle wspominamy koncówki, malutki pływak z knota zanurzonego w nafcie, który oświetlał płaszczyzną wielkości dłoni. Kiedy rozdzili się plany elektryfikacji, nie wiedzieliśmy skąd wziąć ołowek dla naniesienia pierwszego szkicu.

Dokumentalna literatura — to mosty przerzucone z jednego punktu na oparcia faktu, na drugi. I przed nowymi kampaniami, nowymi mostami, które przerzucamy we Wszechświat, trzeba sprawdzić po jakich stopniach, po jakich kamieniach tu przyszlizmy.

Przełożył: EUGENIUSZ IWANICKI

DRUGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH”. W naszej ankiecie zaznacz znakiem plus (+) działy, które Cię interesują i które uważasz za dobrze redagowane. Znakiem minus (-) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o innej uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych, a redakcji pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelników Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów”, na adres: Łódź, ul. Piotrkowska 96.

	+	-
Rzeczony i wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy obywatelowe		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe i teatralne		
film i TV		
teletony		

O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Odgłosach”?

Nazwisko i imię : : : : :
 : : : : :
 wiek : : : : :
 zawód : : : : :
 adres : : : : :



KSIAZKI NADESŁANE

- Jan Parandowski — „AKCJA”, Czytelnik, cena zł 10.—
- Tadeusz Socha — „KULA W PLOT”, Wyd. Literackie, cena zł 21.—
- Mongo Beti — „BIEDNY CHRYSZTUS Z BOMBY”, PIW, cena zł 18.—
- Borys Ławrientiew — „CZTERDZIESTY PIERWSZY”, PIW, cena zł 10.—

KONRAD FREJDLICH

Jerzego Wawrzaka REKOMENDACJA

Już samo tylko precyzyjne opisanie faktu przesądza o wielkim sukcesie autorstwa Jerzego Wawrzaka, który w swojej ostatniej, a płatnej już w jego dorobku książce „Opis październikowej” podejmuje najpełniejszą w naszej literaturze próbę opisu październikowego przełomu. Próba, trzeba to od razu dodać, ambitną i w pełni udaną, jest to zarazem książka o pokoleniu, które wtedy, ten znamiennej jesieni 1956 r. osiągnęło jednoczesną społeczną i polityczną dojrzałość, a dziś ma poważny udział we władzy i wpływa na wiele zasadniczych decyzji.

Bliisko połowę grubej ponad 300 stronliczącej powieści zajmuje opis wy-

darzeń październikowych na politechnicę w mieście H., opis tak rzetelny, że czytelnik bez brudu rozszyfruje ukrytą pod tym kryptonimem Czesochowę. Opis października tak sugestywny, że czytelnik od najdzie w książce Wawrzaka swoje własne i w takich dni niepokoje i wątpliwości, bo przecież z nami się dokonywała polityczna siła, zanim cały naród opowiedział się za partią, za politycznym programem Gomułki, targani byliśmy sprzecznościami i w gorączce poszukiwaliśmy było o jeden nieopatrzny krok. Bohater książki Jakub Piechowiak zdał wówczas egzamin odpowiedzialności obywatelskiej,

Jest w powieści Wawrzaka opis takiego dramatu studentckiego wiecu i jest opis demonstracji, gwałtownego przemarszu ulicami miasta, ale szczególnie cenne wydaje mi się ukazanie przez autora mechanizmu październikowych przemian, zmian w aparacie partyjnym, zamachu ideologicznego, jaki towarzyszył zaręczynom do partii, które naród zjednoczyła.

Z wydarzeń październikowych Jakub Piechowiak wyszedł pozbawiony legitymacji partyjnej. To wielka zasługa Wawrzaka, że umiał dostrzec w tym procesie przywrócenia zaufania i naprawienia krzywd, nowe, jednostkowe już krzywdy. Takim ciosem jest dla Jakuba Piechowiaza usuniecie go z partii. Ale pomimo świądomości swojej krzywdy, Jakub Piechowiak nie tra cił zaufania do partii, potrafi odróżnić małostko-

wość uczelnianego „aparataczyka”, od linii partii, od jej meralnego autorytetu.

Jakub Piechowiak, inżynier już w tym czasie, realizuje swój własny październikowy program, swój własny październik dla partii właśnie, choć poza partią. Powie o sobie potem:

„Wiem, że partia przeszła trudne chwile, odczułem to na własnej skórze, ale czas pokazał, kto ma rację. Miałem pewnie w sobie tę wiarę, że prędzej czy później potrafie udowodnić, kim jestem naprawdę”

nowoczesny zakład przemysłowy. Mógłby się ktoś doszukiwać w tej jego decyzji nowego wcielenia judyzmu, nachalnego ofiarnictwa, pompatycznego społecznikostwa, ale będzie to bardzo naślgnięta analogia i nie wytrzyma



ona ciężaru gatunkowego biografii Jakuba Piechowiaza. Wyśłek Judyms był samotniczy, Piechowiakowi też można postawić podobny zarzut, bo jest młody, bo popelnia błędy, ale motywy jego

działania są zupełnie inne. Mówi o sobie: „Przecież ty palisz się do tego, żeby cię uznali z powrotem za swojego, przyciągnęli i mieli znowu zaufanie; pragniesz znowu to zespolenie i jedność, które oparcie, które daje ogromną siłę... Tylko że jesteś tym cholernym Piechowakiem, jesteś nim i prędzej byś sobie dał rękę uciąć, niż wyciągnąć ją do zgody”.

Te ręce wyciągnęła do niego sama partia. Robotnik Kwasniak, sekretarz partii w zakładzie, gdzie Jakub został dyrektorem, w następujący sposób charakteryzuje bohatera książki:

„To trudna rzecz być sprawiedliwym. Być sprawiedliwym w wieku towarzysza Piechowiaza to rzecz szczególnie trudna. Myślę, że towarzysz Piechowiak swoją pracą i postawą zdobył najlepszą rekomendację do partii”. Jakub Piechowiak jest rówieśnikiem pisarza Je-

rzego Wawrzaka. Zajrzyjmy do noty biograficznej na obwołanie — autor „Rekomendacji” urodził się w 1936 r. Młody, zaledwie trzydziestoletni pisarz podjął temat trudny i odpowiedzialny i opowiedział go z pasją tego „eholera nego”, angażując się Piechowakiem. Jest to książka par excellence polityczna, książka zawierająca głęboki sens czasów, które tworzymy, zaangażowana w najlepszym znaczeniu tego słowa. Temu niezwykile odpowiedzialnemu zadaniu Wawrzak sprostał, dając przy okazji barwny, plastyczny opis życia studentów i równie plastyczny opis małego miasteczka Ruda, pod którą można domyślić się całkiem realnie istniejącej Praski nad Prosną, małej miejscowości na kręciach województwa łódzkiego.

*) Jerzy Wawrzak: „Rekomendacja”, Wydawnictwo Łódzkie 1966, nakład 6000 egz., str. 319.

Jak zrobić KaBa Ret

„A czy znasz, ty, bracie młody
Te najmilsze dla Polaków
Szarej Wisły sennie wody
I nasz stary polski Kraków?”

Z tą boyową pieśnią na
uściskach ruszamy w wojaż do
podwawelskiego grodu, obar-
czeni ważką misją naukowo-
dyplomatyczną. Nasze zadanie
— podpatrzeć i poznać
istotne przyczyny powstania
i rozkwitu krakowskiego ka-
baretu, reprezentowanego
ostatnio najchlebniej przez
tzw. Piwnicę pod Baranami.
W Łodzi kabarety powstawa-
ły, ale nigdy jakoś nie roz-
kwitły. Dlaczego?

Kraków jest zabytkowy,
ale przede wszystkim secesyj-
ny. Osobiście uważam, że nie
ma nic urokliwszego nad se-
cesję. Secesja to jak wiado-
mo belle époque, a belle
époque to oczywiście kabare-
ty. Tak więc mamy już wła-
ściwie naszkicowane tło histo-
ryczne.

„Niech tam sobie inne nacje
Zadzierają nosy w górę
Kraków też ma swoje racje
Swoją własną ma kulturę?”

Kraków poza tym, że jest
secesyjny jest także niepowta-
rzalny. Opisał to w sposób
wyczerpujący i nie budzący
wątpliwości z metodologicznego
punktu widzenia, Boy w zna-
nej rozprawie „Znasz li ten
kraj?”. Cytowany autor wy-
mienia m. in. urok starych
uliczek, murów, kościołów,
specyficzny klimat miasta (w
sensie niemeteorologicznym),
ospałe tempo życia, arystokra-
tyczny i zamknięty w sobie
światek mieszczański.

Modelowe mieszczań-
stwo dla zachowania równo-
wagi psychicznej wytworzyło
jedyną w Polsce autentyczną
cyganerię, która przetrwała
dwie wojny światowe i małą
stabilizację.

Kraków jest może mały i
prowincjonalny, ale jak po-
wiada Boy, a słowa jego za-
chowały niewątpliwą aktual-
ność: „Ta stolica przedziwne-
go nabożeństwa miała w so-
bie szczególną żywotność...
Raz po raz stwarzała sobie
formy, czasem dziwaczne, w
których manifestowała swoją
odrębność”. Otóż to — stolecz-
no-królewskie ambicje Krako-
wa znalazły swe zasadnicze
ujście w Sztuce.

Dobrze, dobrze — zapytacie,
ale cóż ma kabaret wspólnie-
go ze sztuką? Wszak kabaret
to muza podkasana, nieprzy-
zwolta, niezaangażowana. Istot-
nie, ale nie w Krakowie. Bo-
wiem w tym mieście, gdzie
wszyscy traktują się okrop-
nie serio, hojnie szafują tytu-
łami, jubiliują nieustannie,
zrodzić się musiał przecież
przekorny chochlik czystej za-
bawy, figlarnych igraszek za-
nie mający dostojne i pierni-
kowate autorytety. Kabaret
urósł w Krakowie do rangi
prawdziwej sztuki stosowa-
nej. Stał się formą protestu,
buntu, walki środowisk arty-
stycznych i inteligencji z za-
śniedziałą przez stulecia men-
talnością mieszczańską.

Sięgnijmy raz jeszcze do
naukowych źródeł historycz-
nych. Mówi Boy-médrec: „A
były zarządk śmiechu w tym
smutnym mieście. Kraków był
bardzo dowcipny. Miał swoisty
humor. Stoleczenie żywiołów
intelektualnych, leniwe tempo
życia, sposobność do wzajem-
nej obserwacji, reakcje wy-
wołane ciągłą pompą, celebra,
wszystko to stwarzało rodzaj
wytwornego kpiarstwa”.

Mimo iż Piwnicę pod Bara-
nami dzieli przeszło pół wie-
ku od Zielonego Balonika to
przecież w obu kabaretach
wciąż można znaleźć analogii
niż różnic. Obydwa możliwe
sa i rozumiały wyłącznie na
krakowskiej glebie, w kręgu
starych murów, dziwnych
postać, walki z tradycją i za-
fascynowania nią zarazem.
Aczkolwiek sytuacja Piwnicy
jest już trochę inna. Ow star-
ry, urokliwy Kraków c.k.
mieszczaństwa i c.k. bohemy
skazany jest na zagładę przez
triumfalny pochód nowoczes-
ności. Jednym z motorów dzia-
łania Piwnicy — twierdzi
Piotr Skrzynecki, bratowy ano-
stól krakowskiego kabaretu —

Jest sentyment do owego za-
mierającego świata orygina-
łów, cudaków, dziwności i
anachronizmów, do świata ka-
baretowej poetyki, lirycznych
wzruszeń, namiętnych roman-
sów, zmysłowych dreszczy i
czystej hecy.

Zielony Balonik i Piwnica
poczęły się w oparach papie-
rosowych dymków. Najpierw
była tzw. banda czyli grupa
pełnych fantazji i niewyżyte-
go temperamentu artystów,
architektów, historyków sztuki,
ki, muzyków, aktorów. Człon-
kowie bandy, do której nale-
żał m. in. sam Penderecki spo-
tykali się, dyskutowali w ka-
wiarniach, knajpach i miesz-
kaniach prywatnych tak jak
za czasów Zielonego Baloni-
ka. Urządzali tzw. baliki w
małych knajpkach na peryfe-
riach Krakowa. Baliki miały
charakter swoistego happenin-
gu. Spiewano, tańczono, im-
provizowano przeróżne za-
bawne scenki. Jak mówi
Skrzynecki — ogromna rola w
powstaniu kabaretu odegrali
plastycy, którzy nadal prym
wioda i są duszą zespołu. Sam
Skrzynecki ma także zaintere-
sowania plastyczne. Malarka
jest znakomita wykonawczyni
rosyjskich romansów w ostat-
nim programie — Danka Lesz-
czyńska, plastikiem jest Lit-
win, Leszek Długosz — pio-
senkarz i kompozytor, Krysty-
na Zachwatowicz — w cywilu
słynny scenograf, Maria Za-
jáčówna, także aktorka itd. I
w Zielonym Baloniku pierw-
szą skrzypce grała „malarka”.
Na poparcie słów Skrzyneck-
iego zacytujmy raz jeszcze
najwybitniejszego polskiego

cy. Za występ dostają 60 zł
wprawdzie, ale czego w Kra-
kowie nie robi się dla sztuki.
Początkowo Piwnica mia-
ła charakter zamknięty. I po-
dobnie jak za czasów Zielo-
nego Balonika, czcigodne matro-
ny krakowskie szepotały sobie
na ucho z podnieceniem skan-
daliczne opowieści z cyklu co
tam ci artyści, moja pani, w
tej Piwnicy nie wyprawiają.
Sodoma i Gomora! Ale nie-
stety, były to tylko czcze wy-
mysły. Oddawano się wyłącz-
nie igraszkom intelektualno-
artystycznym, które jak twier-
dzi nauka sublimują niskie
instynkty. Potem Piwnica
otworzyła swoje podwoje i
okazało się, ku rozczarowa-
niu czcigodnych matron, że
jest to najprzystojniejszy lokal
pod księżycem. (bo w Krako-
wie ważniejszy jest księżyc
niż słońce).

Najistotniejszą cechą na-
szego kabaretu — powiada
Piotr Skrzynecki — jest jego
niezależność. Robimy to co
nam się podoba i na co ma-
my ochotę. Barany nie są
chaltura i źródłem łatwych
zarobków. Są więc niezależne
od kapryśnych publiczności. Są
miejscem wspólnej, bardzo in-
teligentnej i bardzo smako-
szowskiej zabawy

„Tak więc chytry jest
Germanin,
Francuz — spróbyj,
Włoch — namiętny,
A zaś każdy krakowianin:
goly i inteligentny”

Trudno, trzeba z zawiesz-
ką przyznać, że bez owej błysko-
tliwej i pełnej weny intelli-
gencji widzów i aktorów nie

klimat — nastrój całości. Naj-
ważniejszy — jak twierdzi —
jest montaż poszczególnych
elementów widowiska, rytm,
pulsacja wzruszeń i nastroj-
ów. Z przedstawienia na
przedstawienie rzecz ulega
zmianom. Szuka się ciągle no-
wych rozwiązań, próbuje, im
prowinuje nieustannie. Wła-
ściwa premiera — mówi Skrzy-
necki — jest dopiero ostatnie
przedstawienie danego progra-
mu.

Na „Łaskę imperatora” zło-
żyło się ileś tam wieków ist-
nienia literatury. Wśród au-
torów blyszczą nazwiska Dmu-
szewskiego od tytułowej „Łas-
ki imperatora”. Mary z Re-
gul niezbyt popularnej ale
jakże wybitnej pamiętnikar-
ki, Galla Anonima, Majakow-
skiego, Mandelstama, Tuwi-
ma, Lutosławskiego Wincen-
tego (Pouczające dzieło „Jak
tanie podróżować” oraz nie-
mniej pouczająca „Logika
ogólna”), Brücknera i wielu
innych. Sedno sprawy tkwi
jednak nie w dowcipie sa-
mych tekstów ale w ich zna-
mienności gatunkowej i zaska-
kującym, nieoczekiwanym spo-
sobie interpretacji. Zmiana in-
tonacji, kadencji zdań, akcen-
tu, mimiki i gestu całkowicie
zmienia sens wypowiedza-
nego tekstu i wywołuje oczy-
wiście huragan śmiechu. I
tak słynne zdanie polskie wy-
jęte z Księgi Henrykowskiej
w świetnej interpretacji re-
welacyjnej Marii Zajáčówny
nabiera zupełnie nowego nie-
przewidzianego frywolnego cha-
rakteru. Odpowiednie podanie
hasła Encyklopedii Staronol-
skiej lub też artykułu o mo-
tyłkach z czasopiśma „Gie-
wont” wywołuje nieopisany
entuzjazm publiczności.

W tego rodzaju igraszkach
językowo-stylistycznych cały
ciężar spoczywa na wykonaw-
cach. Gwoli sprawiedliwości
trzeba powiedzieć, że okre-
ślenie wykonawcy nie jest
właściwe. Wszyscy sa tu
współautorami przedstawie-
nia. A to głównie dzięki sil-
nym i określonym indywi-
dualnościom, narzucającym
swoją styl i swoją osobowość.
Wszyscy sa wścymienici. Dwu-
znacznie pryncypalna Zają-
czówna, nerwosywno-najwna
Zachwatowicz, komiczny w
każdym calu nieruchawy Lit-
win i żywy jak Iskierka Ta-
deusz Kwinta. Osobny roz-
dział piwnicznego poematu sta-
nowi piosenka i tak zwana
oprawa muzyczna. Kompozy-
torzy: Radwan, Konieczny,
Długosz. Piosenka to ciału pro-
gramu. Świetne literackie tek-
sty i oryginalna muzyka. Jed-
yna w naszym kraju piosen-
ka z prawdziwego zdarze-
nia. I co za wykonawcy!
Wprost nie chce się wierzyć,
tylko bardziej jeśli od czasu do
czasu musi się słuchać radia
lub oglądać telewizję. Jaka
piękna i co więcej inteligent-
na interpretacja. Demoniacz-
na muza piwnicznej piosenki jest
oczywiście Demareczyk —
gniewna i patetyczna. Dopie-
ro w Piwnicy lśni prawdzi-
wym blaskiem swej oryginal-
nej i ciekawej osobowości.
Ewie Demareczyk sekunduje
dzielnie Leszek Długosz, tak-
że kompozytor. Znów oryginal-
ny repertuar, ciekawa in-
terpretacja. Oboje sa bardzo
ekspresywni i patetyczni, prze-
żywają, choć Demareczyk na
ponuro, a Długosz z wdziecz-
nym uśmiechem. Zupełnie in-
ny styl reprezentuje Świącie-
cki. Śpiewa z dystansem, non
szalancem, bawi się piosenką,
próbuje rozmaitych kluczy-
ków. Pani Leszczyńska dech
zapiera swoim wykonaniem
rosyjskich romansów. „Mak”
na widowni. Mistrz Wertyń-
ski był się nie powstydził.

I tak od romansu Tuwima
do Psalmów Dawida mamy
ogromną rozpiętość stylów pio-
senki i stylów interpretacji. W
międzyczasy prawdziwy skrzy-
pek czyli Zbigniew Paleta wy-
konuje prawdziwy koncert
Sarasatego. Nastroj szampań-
skiej zabawy udziela się pu-
bliczności. Wszyscy śpiewają
na popularną nutę „Cezar Ga-
lie znievolił”. Niczym Duch
Boży nad przepaściami unosi
się raz po raz nad sceną
Skrzynecki, dzwoni i coś tam
zabawnie i absurdalnie zapo-
wiada. Z żalem opuszczamy
mroczną salę Piwnicy opatrzo-
na pouczającym napisem „Zo-
bacz i wyjdź”. Przed nami
spowity księżycowym blask-
kiem Rynek Krakowski. Tak
jak wczasy kiedy ulicami
podwawelskiego grodu space-
rowali Wyspiański i Przyby-
szewski, Wyczół i Tetmajer.
Piotr Skrzynecki skrzykuje
swoją ferajnę. Ida w Kraków
kontynuować swój kabaret
szalony, bawić się, dyskutow-
ać o sztuce i życiu. Piwnica
jest ich częścią. Nie potrafi-
liby żyć bez niej. Jest ich po-
trzebą i młodocia tego dostoi-
nego starożytnego grodu, w
którym jak w omszałej bu-
telece burzy się i fermentuje
młode wino. Tak, coś jest w
tych murach...

EWA NURCZYŃSKA

FILMY W TV

Śmiem sądzić, iż cieka-
wość, która skłoniła mnie do
złożenia wizyty w Redakcji
Filmowej Polskiej TV bliska
jest wielu naszym Czyteln-
kom, będącym jednocześnie
stałymi konsumentami pro-
gramów telewizyjnych.

Ciekawości, która tłumaczy adres
wspomnianej wizyty, towarzyszyła
również nuta niepokoju, do którego
skłaniają z jednej strony propono-
wane przez TV filmy, z drugiej in-
formacje spikerów ogłaszających
pożegnanie z niektórymi serialami,
do których telewizorowie zdążyli się
przyczynić.

Przeprowadzona przeze mnie w
Redakcji Filmowej rozmowa z dy-
rektorem Jankowskim ciekawość
moją na pewno zaspokoila, niepo-
koju w pełni ugasił jednak nie
zdołała. Czemu? Wyjaśnią to chy-
ba informacje o planach i możli-
wościach Polskiej TV, w której
programy filmowe zajmują prze-
cież tak istotne miejsce.

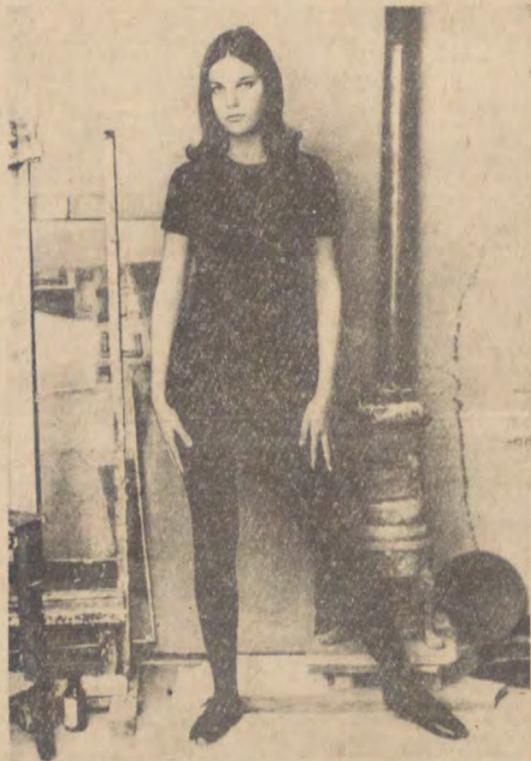
Gdy mówimy o filmie w TV nie-
odparcie nasuwa się nam refleksja,
która obarcza telewizję ogromną
odpowiedzialnością, a jednocześnie
zmusza do usprawiedliwień.

Widz wybierający się do kina ma
zawsze prawo wyboru, wyboru
kształtowanego przez jego zaintere-
sowania, gusty, „stopień wtajem-
niczenia”, telewizor pozabawiony te-
go prawa skazany jest na to, co mu
zostanie zaproponowane; może oczy-
wiście w każdej chwili przekreślić
magiczną gałkę, ale to nie zawsze
takie proste, gdy nie jest wyłącz-
nym panem swego telewizora. A
przecież TV przedstawia jednoraz-
owo swój film wielu milionom
ludzi o bardzo zróżnicowanych
gustach. Możliwość obejrzenia na
przykład „Posady” Olmiego dała
satisfakcję powiedzmy kilku, czy
kilkunastu tysiącom ludzi i wzbu-
dziła gwałtowne protesty wśród ca-
łej reszty odbiorców. Odwrotnie
rzecz mogła wyglądać w wypad-
ku na przykład filmu „Romanza
d'amore”.

Zresztą niech liżby mówią za
siebie. W roku 1966 Telewizja Pol-
ska wyświetliła 330 filmów fabular-
nych, w tym czasie w kinach na-
szego kraju odbyło się około 180
premier. Nie ulega kwestii, że bio-
rac pod uwagę problem doboru re-
pertuaru, zadania komisji dokonu-
jącej zakupów filmów dla telewi-
zji sa dużo trudniejsze. Tym bar-
dziej, że kulisy zakupów tych fil-
mów pełne sa zakamarków, z któ-
rych niełatwo jest wyjść. Reper-
tuar filmowy w telewizji determi-
nowany jest nie tylko możliwościami
finansowymi i trudnościami w
zdobywciu pewnych filmów (przy-
kładem niech tu będzie fakt, iż po-
siadając już prawo wyświetlenia
filmu Rossellegio „Rzym miasto
otwarte”. Telewizja Polska nie mo-
że dostać we Włoszech oryginalnej
wersji), lecz również cały system
prezysów.

Filmy zagraniczne zakupione
przez kinematografie mogą być
świetlone w telewizji po roku eks-
ploatacji w kinach, zaś filmy pol-
skie po trzech latach. Toteż poia-
wienie się na szklanym ekranie fil-
mu polskiego, o którego premie-
rze zdążyliśmy już zapomnieć nie
wzbudza naszego wielkiego entu-
zjazmu. Ten motywowany różnymi
racjami, wśród których taniemy
nie graja najmniejszej roli, przepis
kinematografii nie wydaje się ze
społecznego punktu widzenia naj-
sprawniejszy. Wcześniej pokaza-
nie w TV „Miejsca dla jednego”
Lesiewicza, filmu, który na pewno
nie zrobi w ciągu tych trzech lat
wielkiej kasy, mógłby na ekranach
telewizyjnych zrobić większą ka-
riere. Karierę społecznie bardzo
użyteczną.

Wśród naszych narzekających na
mieszny repertuar oddajmy jed-
nak sprawiedliwość tym poczyn-
aniom telewizji, które przysięśli-
my przed laty. W 1966 roku obejrze-
liśmy przecież szereg wybitnych fil-
mów, które w pewnych wypad-
kach („Paisa”) zobaczyliśmy w Pol-
sce po raz pierwszy, w niektórych
zaś tytuły, które dawno zniknęły z
ekranów („Vivere in pace”). Przy-
pomnianno nam w okresie przezo-
towań do Kongresu Kultury Pol-
skiej „Popiół i diament”, „Eroica”



śmiechologa i Kabaretologa
Boya-Zelenskigo: „Malarze
to element najbardziej żyty;
istnieje tu koleżeństwo szkoły
i rzemiosła, którego nie ma w
innych sztukach... Talent mi-
miczny jest u malarzy czysty,
literacki również; dość rzadki
jest natomiast malarz,
który by nie miał poczucia hu-
moru”.

Pod egidą tedy malarzy, w
upojnym rozgarze balików
rodzili się kształty Piwnicy.
Z czasem postanowiono zało-
żyć klub o licznych sekcjach.
W końcu projekty te rozwią-
ły się i pozostał tylko kaba-
ret, który zainaugurował swo-
je występy jesienią 1956 ro-
ku. Było to nadanie charak-
teru widowiskowego baliko-
wym igraszkom i zabawom.
Ale nastrój zabawy wykonaw-
ców i widzów miał nadal do-
minować. Oficjalny twórca i
spiritus movens Piwnicy
Skrzynecki, krzewił ogień w
Nowej Hucie życie artystycz-
ne i w dowód uznania dla je-
go zastęp na tej niwie, na
zlecenie dyrektora Nowej Hu-
ty wykonano podłocę i ogrze-
wanie w Piwnicy słynnego do
mu pod Baranami.

Nowa Huta niejednokrotnie
zresztą dawała dowody życi-
wości dla zespołu. Zespół tym
czasem rósł i krzepł. Jego
członkowie zdobywali światło
we laury. Demareczyk zosta-
ła narodowa diseusa, Zachwa-
towicz słynnym scenografem,
Litwin gwiazda filmowa, a
Świąciecki telewizyjna. Mimo
owej sławy i obfitych docho-
dów pozostali wierni Piwni-

byłoby krakowskiego kabare-
tu. Barany są kabaretem eli-
tarnym, uprawiają sztukę,
piękna sztukę autentycznego
kabaretu.

W małej salce tłok nieopi-
sany. Ludzie stoja, siedzą, wi-
szą. Co odważniejsi i bardziej
ustosunkowani pchają się na
senkę udekorowaną tiulowymi
zasłonami. W końcu, ku
niezmiernym radości zebra-
nych entuzjastów utrudzo-
nych zdobywaniem godziwego
miejsca, na scenie pojawia
się sam Skrzynecki — co w
rodzaju godardowskiego Pio-
trusa Szalonego — w cylin-
drze, z broda i z dzwonecz-
kiem. Wita uroczyste co bar-
dziej znakomite osoby przy-
byłe na spektakl. Kiedy kra-
kowskiemu Wersalowi staje
się już zażość, zaczyna się
program pt. Łaska imperato-
ra. Na pierwszy ogień idą
piękne Psalmi Dawida z mu-
zyką Radwana, tworzące jak-
by patetyczną ramę widowis-
ka. A potem mnóstwo roz-
maitych uciechowych fiellków
— pastisze, parodie, piosenki
itd. Dużo radości i krzyku.

Zdaniem Skrzyneckiego, ka-
baret z prawdziwego zdarze-
nia przetrzeć musi pew-
nych reguł kabaretowej poe-
tyki, dawać widzowi szeroka
ramę wzruszeń: różnorodnego
tytu piosenki, monologi, ske-
cze itd. Istna zabawa w ka-
baret.

Teksty dobiera Skrzynecki
i pani doktor od filologii Ca-
rycka. Skrzynecki wymyśla
też naczelna zasadę konstru-
ującą każdy program, czyli

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



ZBIÓR REKOPISÓW HEINEGO

Niedawno paryska Biblioteka Narodowa na była, przy wydatnym wsparciu samego gen. de Gaulle'a, obfity zbiór rękopisów wielkiego pisarza niemieckiego Heinricha Heinego (1797-1856). W zbiorze tym znalazło się ponad sto listów poety, około stu wierszy oraz 32 utwory lub fragmenty utworów prozą. Wśród tych rękopisów znajduje się wiele dotychczas nieznanych i nigdzie niepublikowanych projektów i szkiców dzieł. Dzięki temu badacze twórczości i życia Heinego będą mieli nowe materiały dla swych prac, a wiedza o wielkim pisarzu wzbogaci się o nowe dokumenty.

Skąd się wzięły materiały? Sprawa zbiorów ma swą historię. Otóż po pierwszej wojnie światowej bogaty finansista niemiecki, pochodzenia żydowskiego, Schocken zebrał wszystko co zdołał z manuskryptów Heinego, a więc listy, notatki i szkice. Schocken był mecenasem nowoczesnego niemieckiego malarstwa i architektury, a ponadto założył specjalne wydawnictwo, którego celem było wydawanie książek utalentowanych młodych twórców. Po dojściu Hitlera do władzy, zbiory Schockena należało zabezpieczyć. Toteż część rękopisów Heinego wysłał Schocken do Jerozolimy, drugą część udaje mu się, nie bez przygód i trudności, przekazać do Nowego Jorku, a trzecią

mniejszą część manuskryptów zabezpiecza w Szwajcarii.

W roku 1961 germanista wykładający na Sorbonie i badacz twórczości Heinego, Louis Hay podejmuje kroki zmierzające do nawiązania bezpośredniego kontaktu z posiadaczami rękopisów wielkiego poety. Chce dotrzeć do tych manuskryptów nieznanym badaczom.

Dziś Louis Hay sądzi, że w oparciu o dokumenty znajdujące się w Bibliotece Narodowej w Paryżu dojdzie do planowanego, nowego wydania dzieł zbiorowych Heinego, przy współpracy niemieckich badaczy. Sądzi on również, że powinno dojść do nowego wydania dzieł Heinego w języku francuskim. Ma on również nadzieję, że jeszcze jakiegoś rękopisu Heinego mogą się odnaleźć. I tak np. on sam odnalazł rękopis w worku handlarza starymi szpargałami. Jak się okazało manuskrypt był fragmentem "Wintermärchen" Heinego.

Rękopisy znajdujące się w posiadaniu paryskiej Biblioteki powstały przez waznie w Paryżu, gdzie Heine spędzał ostatnie lata swego życia. Wiele z tych rękopisów ma ugrupowanie napisane przez niego poety: "Aus der Matratzengruft" (Z grobowca materaców) gdy Heine chorował. Jego cierpienia były tak okropne, że aby wycpać i spać choć cztery godziny na dobę, zażywał morfiny. Podczas swych bezsennych nocy pisywał, a po nieważ był tak słaby, że nie mógł sięgnąć ręką do kalamarza, pisał ołówkiem.

Jak podała ostatnio prasa francuska w kwietniu w Londynie ma się odbyć licytacja 34 listów Heinricha Heinego. Są to rękopisy pochodzące ze zbioru Aleksandryny Rothschild. Listy Heinego pisane są po francusku i niemiecku. Adresatami są matka i siostra poety oraz wydawca Heinego. Sądzi się, że pary-

ska Biblioteka Narodowa będzie starała się zakupić manuskrypty dla uzupełnienia posiadanego zbioru rękopisów Heinricha Heinego.

DZIKI LABĘDŹ

Hans-Christian Andersen jest od stu lat ulubionym pisarzem dzieci. Jego powieści i sztuki sceniczne dawno już zostały zapomniane, ale jego bajki, a napisal ich około 170, nadal cieszą się popularnością. W ZSRR książki Andersen'a z bajkami dla dzieci miały aż 380 wydań. W Indii postacie z książek Andersen'a konkurują z postaciami lokalnego folkloru. W Południowej



Andersen wśród dzieci

Ameryce "Dziewczynka z zaparkami" i "Nowa szata króla" daly początek komiksom, równą popularnością cieszy się Andersen w Japonii. "Brzydkie kaczątko" stało się bohaterem Disneyowskiego filmu, a "Syrenka" jest słynnym pomnikiem w Kopenhadze.

Andersen był synem matki alkoholiczki i bardzo biednego szewca. Nawet łóżko "podziwiał" w którym przyszedł na świat pisarz sporządzone było z pięt pustego grobowca. Andersen nie od razu chciał zostać pisarzem. Próbowal aktorstwa, uczył się śpiewu. Dopiero gdy miał

lat trzydzieści chwycił za pióro. Sławę zdobył jeszcze za życia. Gdy szedł ulicami Kopenhagi przechodnie z szacunkiem przyglądali mu się jak ich miął, wysoki, kościsty, kroczący kołyszącymi się ruchami labędzia. Królowie zapraszali go do swego stołu. Szanowali i czcili go tak wybitni ludzie jego epoki jak Balzac, Hugo, Dickens.

Tajemnicę powodzenia Andersen'a można zawrzeć w kilku słowach: był przede wszystkim człowiekiem, który do śmierci zachował serce dziecka.

Brak było dotąd jakiejś szerszej i poważniejszej pracy o życiu Andersen'a. Ale obecnie pojawiła się w języku francuskim książka Moniki Stirling pt. "Le Cygne sauvage et son temps" (Dzikie labędzie i jego czasy).

Czytelnik dość dokładnie może z niej poznać dzieje wielkiego bajkopisarza, dowiedzieć się o smutnych dniach jego dzieciństwa, które urozmaicał sobie zabawą marionetkami. Z książki Stirling dowiadujemy się również o nieszcześliwej miłości pisarza do śpiewaczki Jenny Lind, zwa-

nej "szwedzkimi słówkami", kobiety o której Andersen nigdy nie za-

pomniał a nawet z tego powodu do końca życia pozostał kawalerem.



Oto jedna z ilustracji jakie wykonał Moretti do luksusowego wydania poematu Artura Rimbaud pt. "Statek pijany". Wszystkich ilustracji jest blisko 600. Są to gwasze, akwarele, rysunki piórkami. Charakterystyczne jest duża siła wyrazu, oryginalność i sugestywność. Moretti daje śmiało i świeżo interpretację dzieła genialnego poety.

SPEKTAKLE tygodnia

Film	
POLONIA	„Zamienimy się mężami”, 20 seansów 885 — 80%
WISLA	„Ważka z milionami”, 35 seansów 949 — 60%
Teatr	
TEATR WIELKI	„Straszny dwór”, 3 spektakle 3828 — 100%
	„Halka”, 2 spektakle 2552 — 100%
	„Kniaź Igor”, 1 spektakl 1276 — 100%
POWSZECHNY	„Derby w pałacu”, 3 spektakle 1980 — 100%
	„Mocne uderzenie”, 1 spektakl 668 — 100%
JARACZA w teatrze ROZMAITOŚCI	„Namiestnik”, 6 spektakli 3798 — 100%
	„Biała diablica”, 3 spektakle 1578 — 83%
7.15	„Taka noc nie powtórzy się więcej”, 2 spektakle 844 — 100%
	„Dobre skrojony frak”, 4 spektakle 1688 — 100%
OPERETKA	„Życie Paryskie”, 6 spektakli 5134 — 77%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Droga do Czarnolasu”, 6 spektakli 1137 — 70%
	„Trudna miłość”, 7 spektakli 2397 — 100%
FILHARMONIA	Koncerty symfoniczne, 2 spektakle 700 — 50%

POLONICA

SIENKIEWICZ W ŚWIECIE

Wychodzący w Bratysławie „Kulturny Živoť” w nr 50 z ub. roku publikuje sprawozdanie z Sesji Sienkiewiczowskiej, która odbyła się w końcu listopada w Warszawie, pióra Rudo Britana, autora jednego z referatów.

„Cała sesja miała zasięg niewątpliwie światowy, szczególnie w pierwszym dniu, kiedy to mówiono o przekładach dzieł Sienkiewicza na języki obce, oddźwięku jaki wywołały i ich wpływie na inne narody. Po wprowadzającym referacie prof. J. Krzyżanowskiego o percepcji dzieł Sienkiewicza w innych krajach oraz po interesującym referacie radzieckim, wysłuchaliśmy szeregu referatów o tym jak odbierają Sienkiewicza Czesi i Słowacy, Serbowie i Chorwaci, Bułgarzy, Rumuni, Francuzi, Niemcy, Szwedzi, mieszkańcy Stanów Zjednoczonych, Indii itd.

Jest bardzo interesujące, że elementy narodowe i wywołujące (u narodów uciśnianych) miały ogromny wpływ na przyjmowanie dzieł Sienkiewicza w poszczególnych krajach. Spośród dzieł pisarza największą popularność w świecie zdobyło „Quo vadis”, następnie „Krzyżacy”, Trylogia, u Rosjan „Bez dogmatu”, a u wielu innych nowe z „Jankiem Muzykantem” na czele.

Jeszcze bardziej interesująca była chronologia zapoznawania się z dziełami Sienkiewicza przez poszczególne słowiańskie narody i narody czterech części świata (Australia, podobnie jak India korzystały z tłumaczeń angielskich i amerykańskich). Nie do uwierzenia jest prawie, że na przykład Czesi pochwalic się mogą 1600 jednostkami bibliograficznymi. Sienkiewicza tłumaczyło 70 tłumaczy. „Quo vadis” wyszło w 17 wydaniach, tak samo „Janko Muzykant”.

(w)

POLONICA



Krystyna Sienkiewicz w filmie telewizyjnym J. Zarzyckiego „To jest twój nowy syn”.

Inne filmy „szkoły polskiej”. Na szklanym ekranie obejrzelismy również „Pancernik Potiomkin” — pozycje klasyczne w historii filmu światowego. Te i inne tytuły giną jednak w masie „konfekcyjnych” prezentowanych w telewizji. A w 1967 roku tych okazji będzie znów wiele. Z ciekawszych pozycji zobaczymy tak przed wielu laty główne filmy francuskiej „nowej fali”, które nie trafiły do kin jak: „Piekny Sergiusz” czy „Strzelanie do pianisty”. Zobaczymy film „Wszyscy moi synowie” wg A. Millera, „Indie” Rosseliego, „Wieczór z Baletem Królew-

skim”, zobaczymy także tak ciekawe wznowienia jak: „Proces przeciwko miastu”, „Paszport do Pimlico” i wiele, wiele innych. Redakcja filmowa zapowiada również wzrost liczby filmów włoskich i francuskich emitowanych przez telewizję.

Gdy patrzymy na te propozycje filmowe, marzą się nam jakiegoś przemyślane cykle filmowe, prezentujące określoną problematykę sylwetki reżyserów, aktorów itp.

Omawiając problemy filmu w TV, pamiętać jednak musimy, iż specyfika jej programu stanowią filmy seryjne, na których bohaterów i ich przeżycia czekają co tydzień widzowie. W ostatnich czasach pożegnaliśmy „Barona”, znosząc ten cios pokornie, dzięki ponownemu pojawieniu się „Świętego”, czekają nas dwa ostatnie spotkania z „Doktorem Kildarem”. Nadal bawić i straszyc nas będzie A. Hitchcock, któremu w sukurs przyjdzie Sherlock Holmes w serii swych przygod sfilmowanych przez BBC. Latem poznamy historię Al Capone i innych gangsterów.

Amatorzy silnych, choć mniej mrozących krew w żyłach, wrażeń szukać ich będą mogli w 24 odcinkach „Trzech muskietierów” i w 5 odcinkach filmu „Szlakiem podróży kapitana Coocka”. Interesująco zapowiadają się aktorskie nowele filmowe wg bajek La Fontaine'a.

Z tego wyliczenia widać, że telegwiazda dożyła starość, by zapotrzebowanie na seriale zaspokoić. Ocenę ich wartości nie sposób dziś przeprowadzić, choć krąg tematów mówi za siebie, a o Templezie i Kilderze dość się już i to burzliwie w Polsce dyskutowało i pisało. Nasze oczekiwania na nową porcję złych i dobrych, żądnych i moc-

nych wrażeń ze spotkań z filmami na szklanym ekranie, skróćmy sobie jeszcze kilkoma refleksjami na tematy z rodzinnego podwórka.

Popatrzmy na to, co zrobiło się lub zamierza zrobić w dziedzinie polskiego filmu telewizyjnego. Usatysfakcjonowani takimi filmami jak „Wystrzał” i „Mistrz” J. Antczaka, „Awatar” J. Majewskiego, „Ho mo varsoviensis” R. Wionczka, czekamy na filmy, które pójda śladami swych poprzedników uwiecznionych w świecie festiwalowymi laurami. Wiemy już dziś, że nasza „Wojna domowa” podobala się nie tylko w kraju, ale i w Czechosłowacji, NRD, Bułgarii i Szwecji. „Cztery pancerni i pies” wyświetlani przez telewizję moskiewską podbili telewizyjną radzieckich, o czym świadczyły mogą setki listów nadchodzących do Polskiej Telewizji. Przyczynę tego filmu skłoniło autorów do realizacji następnego odcinków przygod „pancernych”. Podobnie niepowtarzalny w swej popularności kapitan Kloss wystąpił w filmowych wersjach swych sześciu przygod przeżytych w Teatrze Sensacji i sześciu nowych, nieznanych jeszcze telewidzom. Już dziś pracująca na ulicach Łodzi ekipa filmowa budzi nadzieje na powrót kapitana Klossa na nasze ekrany. Szkoda tylko, że telewizja dawkuje nam serie przygod swych bohaterów z tak dużymi przerwami, przecież popularność Klossa sprawdziła się już dawno.

W najbliższym jednak czasie czeka nas kilka premier polskich filmów telewizyjnych. W okresie świąt zobaczymy pierwszy z pięciu odcinków „Klubu prof. Tutki” Jerzego Szaniawskiego w reżyserii A. Kondratyuka. Autor tych opowiadań i wykonawca głównej roli G. Holoubek ściągną chyba przed ekrany

telewizorów amatorów dobrej i zmuszającej do refleksji rozrywkę.

W święta zechce nas zabawić również J. Zarzycki prezentując swój film „To jest twój nowy syn” z D. Szafarską, K. Sienkiewicz i grupą przystojnych panów.

Ciekawie zapowiada się film R. Pietruskiego i J. Hoffmana pt. „Ojciec”, film o rodzimym „bananowej młodzieży” z T. Fijewskim w roli tytułowej.

Dzieciom telewizja proponuje 9 odcinków „Niewiarygodnych przygód Marka Piełusa” wg Nizurkiego w reżyserii Wałkowskiego; możemy tu zapewnić autorów filmu, że dorośli czekają na ten film z równym utęsknieniem, znając marzenia dzieci o dobrej przygodzie z ulubionym bohaterem. Już dziś trzymamy palce — oby się podobalo!

Zaufanie jakie zdobyli u widzów reżyserzy pozwala nam przypuszczać, że „Czarna sukienka” i „Wenus z Ille” J. Majewskiego i „Hrabina Cosel” J. Antczaka będą znów sukcesami tych twórców.

Warto tu przypomnieć, że „Wenus z Ille” jest pierwszym z 30 filmów, które Polska Telewizja wyprodukuje wespół z Telewizją Kandydów. Bada to adaptacje klasyki światowej literatury, a znajduje się wśród nich i utwory polskie. Zupełnie osobliwe rzeczy stały się jednak z dwiema autowymi pozycjami spośród polskich filmów telewizyjnych. Jak wieść niosta J. Antczak podjął prace nad trzema odcinkami filmu „Hrabina Cosel” wg J. I. Kraszewskiego, a J. Lutowski na zamówienie telewizji zaczął przygotowywać adaptację „Pana Wołodyjowskiego”. Dziś prasa donosi o tym, że w zespołach filmowych trwają prace nad tymi filmami z przeznaczaniem do rozpowszechniania ich w kinach, a

wiecz kreśli się normalne filmy. Chyba to i dla tych filmów lepiej ze względu na oczywistość. Ale te same źródła donoszą, że jednocześnie przygotowuje się ich wersje (zmienione, wydłużone w czasie) dla telewizji. Postępując się popularnym wyrażeniem „coś tu nie gra”, bo przecież pamiętamy, że na ekranach TV będziemy mogli te filmy obejrzeć w trzy lata po kinowej premierze. Czyli liczytwa telewizji zbierze owoce po dobrych kilku latach i z dużym miniejszym efektem. Warto by tu chyba coś wyśmiać czekającej publiczności.

Mozna by wiele pisać o tym co się planuje w kategorii filmów telewizyjnych, lecz o jednej sprawie, która niepokoi tego, co te plany przegłada trzeba jeszcze wspomnieć. Brak w tych zamierzeniach filmów dokumentalnych o walorach „Homo varsoviensis”, jedyna rzecz przygotowuje znów referat Wionczek, robiac film o Ziemiach Odzyskanych.

Brak również filmów rozrywkowych, muzycznych; luki nie zapełni tu „Tandem” Kokesza, w którym produkuje swe umiejętności duet Kisielewski-Tomaszewski. Z zadróżcia patrzymy i czytamy o sukcesach tej kategorii filmów telewizyjnych naszych południowych sąsiadów. Ich jednodniowa wizyta w naszej telewizji nie rozwiąze tej sprawy, a może by się od nich czegoś nauczyć?

Kończac tę porcję informacji i skromnych refleksji, które jak na wstępie wspominałam, są wynikiem niepokoju o losy filmów na szklanym ekranie, a przede wszystkim o losy telewidzów, pragnę ich poinformować, że „warto się uśmiechnąć, jutro może będzie lepiej”, gdyż wiele naszych niepokojów drzewy również Redakcja Filmów TV. A to już dobrze.

Paul Urszula Tkacz jest od 14 lat pracownikiem CeTeBe, obecnie kierownikiem sekcji eksportu tkanin bawełnianych na rynki Kanady, USA, Australii, Nowej Zelandii i Japonii. Każdego roku wyjeżdża do swych odbiorców, przecząc opinii jakoby dalekie podróże były nie dla kobiet.

W kontaktach handlowych z Australią i Nową Zelandią jesteśmy raczej importera- mi niż eksporterami, kupujemy tam duże ilości wełny. Dążeniem polskiego handlu jest jak największa ekspansja naszych to- warów na tamtejsze rynki, jak największe pokrycie importu eksportem. W 1961 r. Australia zakupiła u nas milion me- trów tkanin bawełnianych, w bieżącym ro- ku — dwa i pół miliona. Godne odnotowa- nia są również, przed dwoma laty zapoczą- tkowane, wizyty kupców australijskich w Polsce, którzy dawniej nigdy tu nie przy- jeżdżali.

Co interesuje nabywców z piątego konty- nentu? Z wyrobów pościelowe, batysty, fula- ry, kieszonówki. W naszą kolorową flane- lę ubiera się młodzież australijska. Dzieci nie chodzą tam do szkoły w mundurkach. Każda szkoła ma swój kolorowy ubiór, za- mawiany w wybranym sklepie. Dziewczeta, nawet gdy jest bardzo ciepło, noszą pończo- chy, rękawiczki i słomkowe kapelusze. Książki noszą nie w toczkach, lecz w waliz- zekach.

Wyjeżdżając do Australii gubię polską zimę. Ta odwrótność sezonów ma swoje minusy handlowe. To co będzie modne w Europie latem, oni mają już w grudniu, o pół roku wprzód. W Australii modne w Sydney przysła- ta tajemnicza depesza: „Tkaniny sukienkowe modne wzory afrykańskie typu dzungli”. Co się pod tym kryje? Mam nadzieję, że koleżanka, która pojechała w tym roku do Australii rozszyfruje tę tajemnicę.

Rynek australijski nie należy do łatwych ze względu na małe zaludnienie (encyklope- dia podaje: 1 mieszkaniec na kilometr kwadratowy — TW) i konieczność oferowa- nia krótkich serii. Z Australijczykami nie handluje się łatwo. Na ich rynki wchodzi się długo i powoli, trzeba zdobywać ich zaufanie — to sprawa bardzo ważna. Duże znaczenie przywiązują do kontaktów osobistych. Są przekonani, że kontrakt zawarty w obecności sprzedawcy jest poważniejszy, bardziej zobowiązujący niż transakcja przeprowadzo- na drogą korespondencyjną. Praktycznie wchodzi się tam na rynek przez cały rok. Kupiec australijski najpierw bierze próbę, potem próbną sztukę, następnie składa prób- ne zamówienie. Jest bardzo solidny i jeśli nawet z transakcji jest niezadowolony, do- prowadzi ją do końca i dopiero potem re- zygnuje z dalszych kontaktów.

Nie spieszą się, nie pedzą, mają czas nie tylko w handlu. Życie toczy się spokojnie, tu nie przyjęła się czy może nie dotarła cywilizacja typu amerykańskiego. Budow- nictwo raczej typu angielskiego, domki na ogół jednorodzinne, często z drzewa, miesz- kania jasne, przytulne. Gęstość zaludnienia nie zmusza do budowania wieżowców.

Egzotyka? Encyklopedia mówi o austra- lijskiej florie: osobne państwo roślinne. Mówi też: całkowicie odrębna fauna. Cu- downa jest ta przyroda, bogata, bujna, róż- linność, tylko niektóre jej okazy znamy z ogrodów botanicznych. Wspaniałe subtropi- kalne lasy, busze. Wracając kiedyś z wy- cieczki widziałam busz po pożarze. Był to rok suszy i pożarów. Wstrząsające wrażenie. Fauna też jedyna w swoim rodzaju. Jej przedstawiciele obejmują można we wspania- łym ogrodzie zoologicznym w Sydney, po- łożonym nad wodą, na malowniczo pofaldo- wanej ogromnej przestrzeni. O Australii mówi się, że więcej tam żyje kangurów niż ludzi. Pożytek z tych zwierząt jest wielora- ki. Futro wyprawia się do różnych celów, mięso jest niesmaczne, dostają je psy, na ogonach gotuje się zupę, podawana zresztą w ekskluzywnych drogich lokalach.

Egzotyka jest sprawą punktu widzenia. Ja na tym terenie jestem również w pew-

nej formie wypoczynku, bardzo przestrzegana i usankcjonowana tradycją. W weekendowy ranek szosami ciągną sznury samo- chodów, po drodze zatrzymują się, by w przydrożnych automatach wziąć lodu do wziętej żywności. Miejscowości wypo- czynkowe oddalone są o 100—150 km od krańców miasta. Na przybyszów czekają stoły i ławki, kominki z przygotowanym drzewem do rozpalenia i gotowana woda.

Po przyjeździe panie zabierają się do szykowania posiłku, panowie do wymiany poglądów ze spotkanymi znajomymi, lub gry w palanta. Po obiedzie panie robiąc na drutach garnusz o dzieciach i modzie, pa- nowie wracają do palanta. Nagroda za wygraną jest piwo. Piwo jest najpopular- niejszym w Australii napojem. Odgrywa ono pewną rolę i w sprawach handlo- wych. Każdy pomyślnie zakończony inte- res kończy się w piwiarni, koniecznie o

przesyłał jej pieśń miłości. Wzywał, by przybyła do niego. Jednak rodzice Hine- moi podejrzewali córkę i umocowali lo- dzie daleko od brzegu. Pewnego wiecz- ru dziewczyna przepłynęła wody jeziora wiedziona pieśnią miłości. Kiedy dotarła do brzegu, była zmarnięta i wykapała się w wodzie gorącego źródła. Tam zna- lazł ją niewolnik Tutanekei. Kochankowie pobrali się i żyli szczęśliwie.

W Nowej Zelandii i mnie wydaje się, że jestem na końcu świata. Jeszcze dwie go- dziny różnicy czasu (w sumie 12 — w po- równaniu z czasem w Polsce), jeszcze więk- szy spokój, jeszcze wolniejsze tempo życia. A z każdego punktu widzenia — jeszcze trud- niejszy rynek, bo jeszcze mniejsze za- ludnienie.

Najchętniej odwiedzana przez tury- stów jest Rotorua i jej okolice. Rotorua — miasto gejzerów, gorących źródeł i źród- łek wytryskujących co krok, miasto gotu- jącego się błota. Asfalt jest ciepły, nad miastem unosi się gęsty obłok pary. Wy- daje się, że wszystko się tu gotuje i wrze. Dwie mile za miastem — autentyczna wio- ska Maorysów — rodzaj skansenu — zacho- wana z wszystkimi detalami ich życia i obyczajów z najwcześniejszych lat ich dziejów. Obok nowe osiedle, w którym teraz mieszkają.

Dzisiaj mają własne prawa, powo- dził im się nieźle, pracują na równi z ludnością białą, są właścicielami ziemi, któ- rą mogą sprzedawać za wysokie ceny. W swe dawne stroje ubierają się raczej dla turystów, dla nich urządzają koncerty pieś- ni i tańców obrzędowych — są turystom przychylni. Ale niedawno podarowali rzą- dowi ogromną ilość buszu pod warunkiem, że będzie tam rezerwat leśny. Boją się wi- docznie, że cywilizacja zniszczy to co w ich kraju było najpiękniejsze.

W dawnych czasach gorące źródła zastę- powały Maorysom ogień. Potrawy zawinięte w woreczki zanurzali w gejzerach i w ten sposób gotowali. Ale i dziś spotka- kać można tubylców zanurzających tym razem już garnki i kociołki ze strawą w gorącej wodzie źródeł. Energia tych źró- deł jest dziś wykorzystywana szeroko. Szklarnie ogrzewane są parą termiczną, sys- tem centralnego ogrzewania podłączony jest bezpośrednio do podziemnych źródeł, wodę termiczną używa się do mycia, pra- nia itd. Ma także szerokie zastosowanie w leśnictwie.

Nie mniejszym kuriozum przyrodniczym są gorące sadzawki. W każdej z nich bul- gorące błoto układa się w inne, specy- ficzne wzory, każde ma też inne, specy- ficzne zabarwienie. Wiele sadzawek otrzy- mało nazwę od form, w jakie układa się ich błoto: Wazon, Sadzone jajka, Talerz owsianki itd.

Kiedy wieczorem w hotelu kładę się do łóżka dokoła panuje idealna cisza. Życie mieszkańców zamyka się w ich domach. Nie słychać wycia radiodiodniaków, szcze- kania psów, krzyku dzieci. Czy długo jesz- cze uda się im zachować ten spokój, uchro- nić od nerwicy cywilizacji?

Notowała: TERESA WOJCIECHOWSKA

POLKA NA PIĄTYM KONTYNENCIE

nym sensie egzotyczna. Nasz agent handlo- wy zaprosił mnie do siebie do domu na kolację. U nas to nie nadzwyczajnego, u nich duże wyróżnienie. Ludzie odwiedzają się niezbyt często, a nigdy bez zaproszenia. Zaproszenie do domu jest zaszczytnym wy- różnieniem. Mnie zaproszono, by dowie- dzieć się czegoś bliższego o Polsce, poroz- mawiać o kraju, z którego przyjechałam. Dzieci wyciągnęły mapę, rozłożyły ją na podłodze i znalazły Polskę. A ja opowia- dałam o sprawach kalkiem egzotycznych. Takich jak wojna i odbudowa kraju ze zniszczeń wojennych.

Gospodyni na krótko odchodziła by do- pilnować kolacji. Przynadzała ją na pod- wórze. Gotowanie potraw odbywa się na powietrzu na kominku obudowanym cegłą. Na rusztach piecze się steki, a w poniele- banany, ziemniaki i cebule, podawane jak- o dodatek do mięsa. Proszę się nie krzy- wić. Bardzo dobre. Do tego mnóstwo czer- wonego wina.

Kobiety są przede wszystkim żonami i matkami. Matkami wielu dzieci. Na pro- wadzeniu domu i wychowywaniu dzieci przechodzi im wiele lat. Publicznie poka- zują się raz do roku, wiosną podczas roz- puszczania zawodów hippicznych. Dzień ten jest wolny od pracy. Wówczas mają oka- zję do zaprezentowania nowych kreacji i kapeluszy. Może właśnie dlatego dobie- ra, jako starsze kobiety, zaczynają się ma- lować, ubierać jaskrawo, bawić, podróżować. Wychowały dzieci, spełniły obowiązek, mo- ga zająć się sobą.

I może dlatego Australijczycy, choć mile witają przybyszów z innych krajów, mało rzadko opuszczają swój. Są turystami tylko we własnym kraju i to już starsi. Młod- szym wystarczają weekendy. Są ulubioną

godzinie 5. W ten sposób piwiarni, stały się swego rodzaju giełdą plotek handlo- wych. Na piwie o 5 można się dowiedzieć kto, co, komu, gdzie i za ile sprzedał dziś w mieście.

Na poczęcie spotkał się starszego pana. Podszedł do nas usłyszawszy, że mówimy po polsku. Zapytał nas z wdziękiem i po prostu: no i jak się państwu podoba to piękne zadupie na końcu świata? Był to warszawianin, którego dzieci ścigały do siebie. Z trudem przychodzi mu psychiczna aklimatyzacja. Brak polskich kawiarni, polskich plotek, polskiego stylu — tego nig- dzie nie można odtworzyć, to wymaga rod- zimego klimatu.

Pierwszym Polakiem, a w każdym razie pierwszym znaczącym Polakiem w Aus- tralii był Paweł Strzelecki, a jako pamięt- kę po nim mamy najwyższy szczyt nazwy- ny imieniem Kościuszki. Polonia australi- ska jest mało ekspansywna, zajęta więcej pracą niż plotkowaniem nie spotyka się tu wrogiej propagandy antypolskiej, z któ- rą zetknąć się można w USA. Liczba kan- dydatek na żony Australijczyków zdaje się zmalała u nas w kraju. Te które pojecha- ły, przekonały się, że trzeba tam ciężko pracować. Żon w Polsce szukają przeważ- nie farmerzy, a praca na fermie to nie żarty.

Piękna Hineomoa żyła w wiosce polo- żonej u brzegów jeziora Rotorua. Kocha- ła gorącą chłopcą, który nosił imię Tutane- kai i on kochał ją również. Ale on mieszkał na wyspie Mokoia i kochankowie nie mogli się spotykać. Każdej nocy z wyspy Mokoia płynął do dziewczyny słodki dźwięk fletu, którym kochanek



Na pomniki zasługują tylko ci, którzy ich nie pragną.



W miłości jak na wojnie: forteca, która godzi się na pertraktacje wkrótce upadnie...



Żony ludzi odważnych często bywają wdowami



Człowiek jest jedynym stworze- niem, które się czerwieni. I słusze- nie.



ŁACIŃSKI DESER

Lewym okiem

Święta Wielkanocne w naszym kraju uchodzą zawsze — i nadal tak się dzieje — za okres nie- umiarkowanego obżarstwa, powodującego różne kolki, zadyszki i zatrucia. Ubolewania i dowcip- kowania na ten temat należą do żelaznego a łatwego repertuaru dziennikarzy, u których re- dakcje zamawiają „coś świątecznego”; dlatego w ciągu tych kilkudziesięciu Wielkanocy, które dotąd udało mi się przeżyć, nauczyłem się już na pamięć, z czego składało się staropolskie świętowanie opi- sane u Kitowicza. Żeby tak raz świątecznie, a ina- czej!

Mam w ręku jedną z najstarszych gazet pol- skich: „Wiadomości Warszawskie”, rocznik 1767. Dwieście lat! Cóż za przyjemność osobliwa obra- cać te kartki i wiedzieć, że to nie żaden pomnik piśmiennictwa, tylko zwyczajna gazeta donosząca dzień po dniu o rzeczach wtedy ważnych. Oprac- niczmy się do paru numerów z okresu świą- tecznego:

Wiadomość z Lipska: „Ponieważ handel między chłopami uszczerbek czyni Obywatelom Miast, a oraz tole przezeń odłogiem leżeć muszą; Xiąż Administrator z tej uwagi kazał ogłosić zakaz,

przez który zakazuje się wszelkie handlarstwo między wieśniakami.”

Wiadomość z Paryża: „Ustanowiono tu Towa- rzystwo Kupieckie na handel niewolników, na handel Amerykański i na połów ryb. Towarzy- stwo to zostanie pod obroną Ministra Sekretarza Żeglugi i rozporządzenie swoje wpiśało u Sądu Admiralicji. Dozór nad tym handlem będzie po- ruczony przedniejszym kupcom, którzy teden mi- lion lożyć nań mogą.”

Wiadomość z Wenecji: „Deputaci Rzeczypospo- litej dnia 17 tego miesiąca sprawili piękną roz- rywkę dla Xiążęcia Würtemburskiego panującego, było to polowanie na bawołów na placu S. Mar- ka. Po różnych sztucznych obrotach dwie osoby ucięli jednym cięciem sześciu bawołów jednego biorąc po drugim głowę. Tym czasem człowiek teden leciał z wieży S. Marka do kościoła S. Geminiana po powrozie przeciagnionym przez cały ten przeciąg. Na ostatek trzech bawołów z og- niami sztucznie upędzonych przez psów i fejer- werk zakończyły cały widok.”

Wiadomość — na pierwszej stronie — z War- szawy: „Król Jegomość powróciwszy do zamku ducunastu ubogim nogi umywał, a potem do stołu im służył, przy asystencji Państwa zgro- madzonego.”

Takie notatki lepiej obrazują atmosferę tam- tego czasu, niż wyliczenie, ile jarząbków pożerał Radziwiłł Panie Kochanku? Czy nie uderza Was podobieństwo rzeźni bawołów z fajerwerkami i człowieka leżącego z wieży — z najnowszym szlagierem „sztuki” zachodniej — happeningiem, o którym pisze na przykład H. Anders w naj- nowszej „Osnowie”!

A oto jednym machnięciem ręki odwołamy sto lat — co też w analogicznym świątecznym okre-

sie zaprzęta w roku 1867 uwagę „Tygodnika Ilustrowanego”?

Kilka szpał poświęca Tygodnik na opis świet- nego wynalazku: skrzynki drewnianej z dziurami. Pani domu wrzuca do takiej skrzynki wszelkie odpadki, a służąca wynosi je i wstawia do rzu- sztoka. Po dwóch, trzech godzinach wycieknie cała „część płynna”, resztę stróż wrzuci do śmiet- nika i odniesie pani skrzynkę na następną porcję odpadków.

Kraszewski donosi z Paryża, że poważne pismo „Liberte” zaczęło zamieszczać co dzień „kartę dobrego obiadu”, czyli przepis, co i jak na dziś ugotować, a nawet jak to zjeść. Dla poparcia swych rad „Liberte” organizuje takie obiady na- prawde w Café de l'Opera, po 6 franków od osoby.

Wszystko to — pisze Kraszewski — uszloby jako pajacowskie schlebienie publiczności w ma- łym dzienniczku; ale w obszernym rozmiarze dzienniku politycznym, jest upokarzające i śmiesz- ne.”

No, to — to już naprawdę minęło. Nikt dzia- siaj publiczności schlebiać nie myśli, i — chociaż wszystkie pisma z „Przekrojem” na czele drukują setki smakowitych przepisów, to przecież ani w żadnym lokalu ich nie dostaniemy, ani w domu — z braku składników i czasu — nie zrobimy. L'art pour l'art.

A skoro wróciliśmy do gastronomii, żeby kla- sycznym kanonom felietonu wielkanocnego stało się zadość, jeden jeszcze cytuję sprzed stu lat: „Co kuchnie poposały, doktorzy poprawiać mu- szą i zwykłe po świętach wielkanocnych apteka- rze zacieraają ręce, bo w te błogie czasy odbył zdawają się u nich”.

CWIEK.